Nr 4. Kwiecień 1902. Rok XXII.

PRZEDŚWIT

WSPOMNIENIA.

W maju roku 1878 stanąłem po raz pierwszy na bruku Warszawy. Już dzieckiem, kiedym obok matki śpiewał w kijowskim kościele „Ojczyznę, wolność“, marzyłem o Warszawie. Wszak to z Warszawy przywożono owe druki i opowieści, których tylem się nasłuchał, kiedyśmy to całą familią siadywali dokoła stołu, do darcia szarpi dla powstańców. Pierwszy mój nauczyciel, lub inny jaki „koroniarz“ opowiadał, czy czytał tak porywająco, żem się cały w słuch zamieniał, a napędzony do snu, długom zasnąć nie mógł, marząc o tej pięknej, a tak nieuchwytnej, lecz przecież czarującej „ojczyźnie“, o której w owym czasie tyle mówiono i tak pięknie śpiewano. A przecież i śpiewy te, i owe zbiory „najpiękniejszych melodyi“, zebranych w „Kłosach“ i „Kwiatach Polskich“, które z takiem uczuciem wygrywał pierwszy mój nauczyciel muzyki, także koroniarz, wszystko to szło z Warszawy. Umysł więc mój i serce kształtowało się na kulcie Warszawy, która w mej wyobraźni szła tuż obok „ojczyzny“. A jednak, choć przeżyłem już ćwierć wieku, chociażem już z niejednego pieca chleb jadał, chociażem już był zaznał i goryczy emigracyi i roskoszy „nielegalnego życia“ — nie oglądałem jeszcze Warszawy. Teraz dopiero, oddawszy kelnerowi hotelu Polskiego wybornie podrobiony paszport na imię Aleksandra Pawłowskiego (paszport ten służył potem Ludwikowi Waryńskiemu w Galicyi), szedłem z poleceniami petersburskiego kółka na plac Zielony pod Nr. 10 na „facyatkę“. Dzień był pochmurny, lecz w duszy mej promieniała taka jasność, jakiej nigdy jeszcze nie odczuwałem.

Już w Petersburgu dowiedziałem się o rozpoczynającej się propagandzie socyalistycznej wśród robotników. Ponieważ zaś polskie petersburskie kółko socyalistów znało moje konspiracyjne roboty od roku 1875, ponieważ wiedziało, że miałem możność obeznania się z robotniczą organizacyą rosyjską, żem widział robotę socyalnych domokratów w Berlinie i francuskich socyalistów w Paryżu; ponieważ wiedziano, że w potrzebie potrafię przywdziać bluzę robotniczą, dano mi dobrą rekomendacyę do Warszawy. Na „facyatce“ najserdeczniej powitał mnie Ludwik Waryński: „Na gwałt trzeba nam ludzi „wyrobionych“ od hebla i młota. Dość mamy tu dzielnych i szczerych chłopaków, lecz do pracy wśród robociarzy brak mi pomocników“.

W parę godzin po przywitaniu kuferek mój był już na „facyatce“, a gdy Ludwik dojrzał w nim skórzany fartuch, wzniósł go do góry i zawołał: „Oto nasz mundur! Widać, żeś nieraz stał w nim przy kowadle, a więc witaj nam!“ Z fartuchem w ręku serdecznie mnie uściskał i od tej chwili byliśmy już na „ty“.

Tegoż wieczora zaprowadził mnie Ludwik na zgromadzenie robotnicze i w ten sposób od pierwszego dnia byłem już „przy robocie“.

Niebawem przekonałem się, o ile warszawski robociarz wyższym był od rosyjskiego. Gdy w Rosyi wyjątkowi tylko robotnicy, z zaproszonych na kółkowe posiedzenia, odważali się przemawiać — tu przemawiała większość. Tam ograniczano się najczęściej do zadawania pytań. Tu robociarz w swem przemówieniu prostował nieraz niedokładności w mowie „inteligenta“. Przeciętny rosyjski robotnik pojęcia nie miał o kwestyach politycznych; głęboko był przeświadczony, że co się dzieje na świecie — dzieje się na rozkaz lub zezwolenie cara. Wszelkie niewykonanie rozkazu lub pragnienia carskiego rosyjski robotnik uważał za „bunt“ i głęboko wierzył, że „matuszka Ruś szapkami zakidajet“ każdego, ktoby ośmielił się „buntować“. Pojęcie solidarności międzynarodowej było prawie niedostępne najbardziej nawet „wyrobionym“ rosyjskim robotnikom. Warszawski zaś robociarz, wzrosły na tradycyach wiekowych walk politycznych, chętnie wspominał opowieści o Kościuszce, Głowackim, Kilińskim, co „prali kozuniów“; o Konstantym, który chował się w spodnicach żony przed Belwederczykami i o „cudach zręczności i przebiegłości“ rządu narodowego z ostatniego powstania. O potędze moskiewskiej mawiał: „silne są dranie“. A przecież, nawykły ze słyszenia, a po części z własnego doświadczenia do stałej niemal konspiracyjnej roboty, tęsknił do niej i otaczał ją pewnym urokiem, a zetknąwszy się z agitatorem, witał go z zadowoleniem i mawiał: „no, przecież zaczyna się coś znowu, bo to 15 już lat było u nas cicho“.

Nie potrafię opisać swego zachwytu, gdym po raz pierwszy usłyszał takie mniej więcej zdanie z ust przeszło czterdziestoletniego robociarza, ojca dość licznej familii, któremu po 63 roku jedno tylko zostało oko. Lecz najbardziej podziwiałem w polskim robociarzu niezmierną łatwość przyswajania, jako też głębokie zrozumienie i odczucie miedzynarodowej solidarności ludu pracującego. Zdaje mi się, że zasadniczą przyczyną owej łatwości przyswajania i odczucia międzynarodowej solidarności ludów jest instynktowne przeświadczenie każdego niemal „królewiaka“ o rozdźwięku i sprzeczności interesów rządu a społeczeństwa. Na tem tle dopiero zarysowują się szkice bratniego stosunku ludów, przez liczne legendy o wspólnych walkach rewolucyjnych i sympatyi ludów do naszych emigrantów. Korzystnie też wpływa w tym względzie zwyczaj zagranicznych wędrówek naszych rzemieślników po odbytym terminie i „wyzwoleniu“. Z takich wędrówek przynosił nieraz polski robociarz opowieści o budzeniu się pracujących niemców,

francuzów, anglików i o poczuciu u nich międzynarodowej solidarności znacznie wcześniej, niż się rozpoczęła „propaganda“, prowadzona przez kółka socyalistycznej młodzieży. Przywożone opowieści bywały czasem bardzo fantastyczne, a zwykle niedokładne, jak każde podanie; lecz one to, jak wszelkie podania, jak wszelka „pieśń“ urabiały umysły i serca i przygotowywały je do przyjęcia wyników nauki społecznej i ekonomicznej, która idąc z zachodu przenikała umysły młodzieży polskiej, rozsianej na wschodzie, a ta wracając „do kraju“ dzieliła się swemi zdobyczami z robociarzem polskim. Najbardziej jednak przyczynia się do pogłębienia w nas poczucia międzynarodowej solidarności ludów fakt rozszarpania nas przez rządy zaborcze. Skłonny do wędrówek polski robociarz, pracując raz w Niemczech, to znowu w Austryi, czy też w Rosyi, wszędzie spotyka swoich, którzy jednako z obcymi są wyzyskiwani, a wszędzie widzi, że rządy popierają przedewszystkiem wyzyskiwaczy. W każdym z zaborów znajduje on poparcie nie rodaka przedsiębiorcy, lecz spostrzega wyciągniętą ku sobie spracowaną dłoń innoplemiennego lub innowierczego robotnika. Ta poglądowa nauka trwa stale i wywiera skutek niezawodny. To też propaganda socyalistyczna nie tylko w przemysłowej Warszawie, lecz także w całkiem nieprzemysłowej Galicyi odrazu padała na znakomicie przygotowany grunt. Robotnicze kółka „kas oporu“ rosły jak, grzyby po deszczu, nie zadawalniały one jednak ani warszawskich robociarzy, ani głównego ich organizatora Ludwika Waryńskiego. Muszę tu nadmienić, że nie w jednej z większych fabryk warszawskich od bardzo już dawna istniały „kasy“ i „kółka wzajemnej pomocy“. Władze fabryczne i policya patrzyła na nie przez palce, a robociarze bez osobliwego wyboru dopuszczali kolegów do udziału w takich kasach, tem bardziej, że wsparcia i pożyczki dawano nadzwyczaj oględnie, a nieregularnie opłacający podatek tracił prawo do zapomogi. Waryński pragnął przedewszystkiem szybkiego wzrostu „kółek“, spodziewał się, że znany już typ „kas“ przyjmie się najłatwiej, chciało mu się jednak, aby te kasy wspierały tylko wojujących robotników w czasie strejków i dla tego nazwał nowe swoje kółka „kasami oporu“. Mówię o nowych kółkach dla tego, że usiłowania przekształcenia istniejących już spełzły na niczem. Do tych nowych „kółek“ werbowano prawie tak samo jak do starych, a więc nie czyniąc wyboru. W przemowach jednak całkiem zapominano o nazwie i sposobie werbowania. Propagowano nieodzowność socyalnej rewolucyi, a wszelkie „Szulcedeliczowskie brednie“, do których zaliczano też najrozmaitsze „kasy“, nazywano „burżuazyjną obłudą“. Takie sprzeczności nie mogły ujść bezkarnie. Starsi robociarze i sam Waryński. jeszcze przed moim przyjazdem mawiali, że „trzeba jakoś inaczej prowadzić robotę“, i radzili co i jak trzeba zmienić. Pisał też o tem Waryński do najwybitniejszego z ówczesnych socyalistów polskich, członka petersburskiego kółka, którego nazwę przez literę A. Przed moim wyjazdem do

Warszawy naradzaliśmy się z owym A w kwestyi organizacyi. Obaj jednak zgodziliśmy się, że opracowanie planu organizacyi musi się odbyć na miejscu. Przyjrzawszy się warszawskiej robocie byłem zdania, że wielki już czas pomyśleć o organizacyi wyraźnie socyalistycznej. Zaproponowałem więc: istniejące „kółka kas oporu“, do których już się wcisnęło kilku „podejrzanych“, natychmiast rozwiązać; do robotniczej organizacyi dopuszczać tylko zdecydowanych socyalistów, ludzi wypróbowanych, godnych bezwarunkowego zaufania i przeważnie robociarzy, wszystkie zaś kółka inteligentów rozsiane po kraju i w caracie winne były, mojem zdaniem, ograniczać się rolą pomocników. „Ludwik“ i „Kazio“ zupełnie zgadzając się ze mną zaproponowali, abym opracował plan organizacyi, który też wkrótce ułożyłem, naradzając się z Ludwikiem, Kaziem, Józ. Pławińskim, Przewóskim, Filipiną Płaskowicką, Dziankowskim i z kilkoma robociarzami, których nie nazywam, bo nie wiem co się z nimi stało. W tym czasie, kiedyśmy tworzyli plan nowej organizacyi, wszystkim „podejrzanym“, „niepewnym“ i niedostatecznie znanym mówiło się o rozwiązaniu wszystkich kółek i przerwaniu wszelkiej roboty. Ten manewr ocalił powstającą organizacyę, a powstawała ona jednocześnie z rozpoczynającemi się rewizyami i aresztowaniami. Różne krążyły zdania o przyczynach pierwszych aresztów w Warszawie. Najczęściej jednak zapominano, że rewizye i aresztowania w Warszawie nastąpiły bezpośrednio po aresztowaniu kilku członków pewnego kółka wileńskiego. Członkowie tego kółka byli wielkimi amatorami pisywania i przechowywania listów z imionami i adresami, i zdaje mi się, że listy te spowodowały najwięcej ofiar. W każdym razie nieostrożność w listach więcej nam szkody sprawiła niż szpiegowie i zdrajcy.

Nie mogę nie przytoczyć tu paru faktów, świadczących o sympatyi ku nam społeczeństwa.

Razu jednego idę do pewnego lokatora drugiego piętra. Zaledwie jednak wchodzę na pierwsze, otwierają się drzwi. Nieznajoma kobieta chwyta mnie za rękę i woła bardzo wyraźnie i głośno: „czyż to się godzi tak o nas zapominać?“ w tejże jednak chwili dodaje cichutko: „chodź pan do pokoju“. Wchodzę posłuszny i dowiaduję się, że na górze żandarmi od rana „czatują“. „Nikogo przecie nie złapali, bo my tu pamiętamy, kto przychodził na górę i wszystkich ostrzegamy“. Gdym zaczął dziękować — „Daj pan pokój, albo to my nie polacy? Musicie spiskować, jeśli moskale tak się na was zawzięli... szczęść wam Boże!“ To niebył odosobniony fakt, lecz charakterystyczny. Lokatorowie a najczęściej stróże, oburzeni na świeżo wprowadzone blachy z napisem „dwornik“, ostrzegali nas bardzo często przed grożącem niebezpieczeństwem. Najlepiej chyba jednak scharakteryzuje stosunek społeczeństwa do rozpoczynającej się konspiracyjnej roboty następujące zdarzenie. Kiedy mieliśmy już niezbite dowody, że Waryńskiego już znają i poszukują, namawialiśmy go, aby wyjechał bodaj na jakiś czas do Galicyi. Nietylko jednak niechciał nas

usłuchać, lecz najspokojniej spacerował i naznaczał kolegom spotkania w Saskim ogrodzie w biały dzień. Gdy tak pewnego razu spaceruje po alei, spostrzega idącego ku niemu łapacza z dwoma policyantami. Zawraca i przyśpiesza kroku. Łapacz z policyantami gonią za nim i krzyczą: „trzymajcie złodzieja“. — „Kłamstwo! — woła Waryński — jestem spiskowcem“ i ucieka co tchu. „Spiskowiec ucieka“ powtórzyło kilkadziesiąt głosów i w jednej chwili, niby z pod ziemi, urósł tłum, oddzielający łapacza z policyantami od Waryńskiego. Jakiś nieznajomy mężczyzna podał mu cylinder, który odrazu zmienił wygląd Ludwika, noszącego zazwyczaj niski kapelusz. Waryński uciekał, a za nim i przed nim leciało z ust do ust: „spiskowiec ucieka“. Daremnie łapacze i policyanci szarpali się i usiłowali pojmać znikającą im z przed oczu ofiarę. Na każdym kroku zatrzymywani i myleni mogli tylko zwoływać przeraźliwym gwizdaniem coraz większe posiłki, a tymczasem Ludwik zwalniał kroku, bo był niedaleko wyjścia. Teraz jakaś piękna, elegancko ubrana kobieta podaje mu ramię ze słowami: „chodźmy, tak będzie bezpieczniej“ i Waryński w cylindrze, w towarzystwie szykownej damy, wychodzi z Saskiego ogrodu. Daremnie jednak prosi swą towarzyszkę, aby mu powiedziała: „komu zawdzięcza ocalenie?“ — „Boję się spiskowców“ odrzekła filuternie, a rozkazawszy mu wsiąść do dorożki, rzuca mu „żegnam Pana“ i znika.

(D. n.)

Walka o chleb w Niemczech

III.

Niegdyś, w pierwszej połowie XIX wieku, junkrowie pruscy byli gorliwymi wolnohandlowcami. Bo też wówczas niewiele zagranicznego zboża do Prus sprowadzano, natomiast sprowadzano dużo wyrobów przemysłowych, bo własny przemysł pruski, jak i wogóle niemiecki, był jeszcze słabo rozwinięty. Ale zmieniły się czasy; przemysł niemiecki rozwinął się potężnie, a z nim, po największej części przez emigracyę z obszarów dworskich, rozwinęła się przeszło trzydziestomilionowa ludność przemysłowa, do wyżywienia której wytwory swojskiego rolnictwa już dawno nie wystarczają. A owi inni emigranci z obszarów dworskich, którzy za morzem „na wolnej ziemi wolny lud“ stworzyli, zalewają rynki niemieckie coraz wzrastającemi masami taniego zboża i taniego mięsa. I otóż okazało się na nowo, że właściwą istotą wielkiej własności ziemskiej jest nie konkurencya, ale rabunek: zamiast, na wzór wielkich przemysłowców, wypierać obce towary mocą coraz doskonalszych metod technicznych, junkrowie, trzymający w swem ręku klamkę władzy rządowej, zaczęli usuwać z rynku niemiłą im konkurencyę zbrojną przemocą: zaczęli zaprowadzać w Niemczech coraz wyższe cła ochronne na zboże i inne przedmioty codziennego pokarmu. To nieustanne podwyższanie ceł zbożowych zaczyna się już od roku 1878 i doszło do

takich rozmiarów, że podczas kiedy w Szwajcaryi cło od stu kilogramów pszenicy do dziś dnia wynosi tylko 30 centymów, w Niemczech wynosi ono obecnie 3 marki 50 centymów, a więc niemal 15 razy więcej. Junkrom więc ich polityczne przywileje służą na to, aby, sztucznie wykluczając konkurentów, którzyby przy wolnej, niesfałszowanej grze sił ekonomicznych z łatwością górę nad nimi wzięli, ludności pracującej chleb codzienny jak najdrożej sprzedawać. A przytem zauważyć należy, że ta sztuczna drożyzna życia właśnie z najuboższych warstw ludu stosunkowo najcięższy haracz ściąga; albowiem im jakaś rodzina jest uboższa, tem większą część stosunkową swoich szczupłych dochodów wydaje ona na rzeczy niezbędne do życia, takie jak chleb. Z drugiej strony zaś bynajmniej nie wszyscy rolnicy na cłach zbożowych korzystają. Przeciwnie, ogromna większość ludności wiejskiej (i robotników i właścicieli ziemskich) na cłach zbożowych albo nic nie korzysta, albo wprost traci. Nie mówię już o milionowej klasie proletaryuszy rolnych, którzy mąkę dla własnego gospodarstwa zazwyczaj kupować muszą, a więc drożyznę mąki zupełnie tak boleśnie odczuwają jak robotnicy przemysłowi; ale i drobni chłopi zazwyczaj wytwarzają zaledwie tyle zboża, ile im trzeba dla własnej rodziny oraz dla własnego bydła, nieraz zaś we własnem gospodarstwie wytwarzają inne, cenniejsze produkta, bądź to przeróżne warzywa i owoce, bądź to winogrona i wino, bądź to tytoń lub chmiel, bądź to mleko, masło, ser, jaja, drób, mięso — a zboże kupują. A nawet zamożni chłopi w różnych częściach Niemiec są przeważnie hodowcami bydła, w takim razie zaś niewiele zboża sprzedają, przeciwnie kupują wielkie ilości taniego zboża jako paszę. Ogółem biorąc, można twierdzić, że gospodarze wiejscy posiadający mniej niż 5 hektarów na cłach zbożowych stanowczo tracą, gospodarze posiadający od pięciu do stu hektarów przeciętnie tyle tracą co korzystają, a stanowczo korzystają tylko gospodarze posiadający sto hektarów lub więcej. Otóż wedle statystyki z r. 1896 w całem państwie niemieckiem (włącznie z dzielnicami polskiemi) gospodarstw wiejskich niżej pięciu hektarów było 4,252.685; gospodarstw od pięciu do stu hektarów było 1,280.571, a gospodarstw obejmujących sto hektarów lub więcej zaledwie 25.061. Liczba ludzi, którym cła zbożowe rzeczywistą korzyść przynoszą, jest więc drobniutką; junkrowie niemieccy i polscy wraz z nieliczną warstwą najzamożniejszych chłopów, razem jakie 50 do 60.000 bogatych właścicieli, wzbogacają się kosztem sześćdziesięciomilionowej ludności, przedewszystkiem zaś kosztem robotników.

Myślałby ktoś, że tak szczodrze obdarzeni przywilejami junkrowie teraz przynajmniej będą zadowoleni ze swej pozycyi ekonomicznej. A jednak tak nie jest. Junkrowie od lat już głośno narzekają, że „rolnictwo niemieckie jest zagrożone“, to znaczy, że oni brną w długi i inne trudności. Jest w tych skargach dużo przesady, ale też dużo prawdy, a to z dwóch przyczyn. Po pierwsze, ponieważ od chwili zniesienia pańszczyzny wielka własność ziemska stała się instytucyą ekonomicznie nieracyonalną, a z wzrastającym rozwojem kolei, parowców i przemysłu staje się coraz bardziej instytucyą ekonomiczną niemożliwą: po drugie zaś mocą bardzo ogólnego prawa naturalnego, które brzmi, że kieszeń junkra jest dziurawa. Każdorazowe podwyższenie wartości ich dóbr, przez sztuczne podwyższenie cen zboża wywołane, jednym junkrom służy po prostu do zaciągania nowych długów, drugim zaś, już zadłużonym, do sprzedawania swoich dóbr za wysoką cenę, przepuszczenia części otrzymanej sumy, a za resztę kupienia nowej posiadłości, przyczem się znowu aż po uszy obdłużają. Słowem, to co ich przodkowie niegdyś zdobywali otwartym rabunkiem: życie pańskie, pełne splendoru i bezmyślnej rozrzutności, to się dzisiejsi junkrowie starają zdobywać środkami niby-ekonomicznymi. Jestto trudne zadanie; nie dziw, że junkrowie wciąż o pomoc państwową krzyczą. Obecnie znowu, wobec zbliżającego się terminu odnowienia traktatów handlowych, junkrowie podnoszą krzyk, że przy tak

niskich cłach na zboże, jak $3^1/_2$ marek na sto kilogramów, rolnictwo niemieckie ostać się nie może, że konkurencya zamorska oraz rosyjska zniszczy niemieckie rolnictwo, jeśli rząd nie zaprowadzi jeszcze wyższych ceł!

Jednakże, ponieważ zawieranie lub zrywanie traktatów handlowych z obcemi mocarstwami nie jest sprawą pruską, tylko niemiecką, więc junkrowie nie mogą załatwić tej sprawy „w swoim domku", na posiedzeniach owej obrzydłej karykatury parlamentu, zwanej sejmem pruskim. Nie, nowa taryfa celna musi być uchwalona przez radę państwa rzeszy niemieckiej — a ponieważ rada państwa wybieraną jest na podstawie powszechnego prawa głosowania, więc aby wskórać coś, trzeba zainteresować swoją propozycyą jaknajliczniejszy odłam ludu. Niemała to trudność, kiedy chodzi o wygłodzenie ludu!

Otóż trzeba przyznać, że sposób, którym junkrowie starali się pokonać tę trudność, świadczy o ich wcale pokaźnych zdolnościach politycznych. Z wielką energią, zręcznością i ruchliwością zaczęli oni wmawiać w opinię publiczną, jakoby podwyższenie ceł zbożowych było potrzebne nie tylko dla nich, ale dla całej ludności rolniczej, od magnata aż do komornika lub robotnika rolnego, a więc w okrągłej liczbie dla dwóch piątych całkowitej ludności państwa niemieckiego. Co więcej, junkrowie do tego stopnia zdołali wyprzeć się swojej pychy, że w publicznej agitacyi, rzekłbyś, chowają się poza plecami tego miljonowego tłumu nisko urodzonych pracowników. Ci sami ludzie, dla ojców których wyraz „Bauer" (chłop) był najgrubszą obrazą, dzisiaj domagają się uwzględnienia swoich potrzeb ekonomicznych nie jako „szlachta", lecz jako „rolnicy", jako „chłopi"; celem poparcia swych żądań, stworzyli oni potężną organizacyę polityczną pod nazwą „Bund der Landwirte" (związek rolników), a do tej organizacyi istotnie przyjmują i prostych chłopów, o ile ci ostatni tylko dają się zwerbować. Z niezmordowaną gorliwością agitatorów tego „związku rolników" oprócz socyalistów żadna inna partya w Niemczech równać się nie może; nikt w Niemczech głośniej i wytrwelej krzyczeć nie umie jak oni. Przy wyborach „związek rolników" najczęściej nie stawia własnych kandydatów, ale do *wszystkich* kandydatów, od których się wogóle spodziewać może przychylnej odpowiedzi: konserwatystów, wolnokonserwatystów, „narodowych liberałów" *), antysemitów, przedewszystkiem zaś centrowców, jak nabity rewolwer stawiają pytanie: „czy będziesz pan głosował za podwyższeniem ceł zbożowych, czy nie?" Tak więc, sam nie tworząc partyi, związek rolników przy wyborach r. 1898 wywarł i do dziś dnia wywiera potężny wpływ na przedstawicieli *wszystkich* partyi niedemokratycznych. Opierają mu się oprócz socyalistów jedynie trzy frakcye demokracyi liberalnej: południowo niemiecka partya ludowa, wolnomyślna partya ludowa i wolnomyślne zjednoczenie. A i te trzy frakcye liberalne chybaby się Związkowi rolników *nie* oparły, gdyby się temu ostatniemu udało zaciągnąć pod swoje sztandary *całe* włościaństwo. Ale w tem właśnie sęk.

Mimo wszelkiej agitacyi, mimo wszelkiej presyi, wywartej na krocie znękanych chłopów przez dziedzica, landrata, pastora i nauczyciela „związek rolników" do dziś dnia został organizacyą przeważnie pańską i — przeważnie wschodniołabską. Liczy on obecnie około 220.000 członków, z których około 105.000, a więc *blizko połowa*, mieszka na wschód od rzeki Łaby **). Ponieważ zaś liczba

---

*) Nawskróś reakcyjnej tej szajki niepodobna nazwać *liberalną* bez cudzysłowa.

**) Taki stosunek liczebny podał niedawno jeden z agitatorów Związku rolników; zdaje się jednak, że w tem orzeczeniu mieści się pewna dwuznaczność na korzyść Związku. Albowiem bardzo obszerne części Saksonii (i królestwa saskiego i zabranej przez Prusy t. zw. prowincyi saskiej) znajdują się na zachodnim brzegu Łaby; jednakże pod względem ekonomicznym i społeczno-politycznym i te okolice do „Ostelbii" zaliczać należy.

samodzielnych gospodarzy wiejskich (właścicieli i dzierżawców) wynosi w państwie niemieckiem przeszło $5^1/_2$ miliona, przeto członkowie „Związku rolników" stanowią niespełna $4^0/_0$ wszystkich samodzielnych rolników. A przytem wkroczenie do Niemiec południowych jest Związkowi szczególnie utrudnione, albowiem chłopi południowo-niemieccy oddawna mają swoje własne organizacye polityczne, czasem klerykalne, czasem liberalno-demokratyczne, czasem protekcyonistyczne, czasem wolnohandlowe, ale w każdym razie nielubiące prusaków.

Jednakże jakie cztery, trzy, dwa lata temu moralny wpływ, który „Związek rolników" wywierał na większość chłopów w całych północnych Niemczech, był niezawodnie ogromny. Pomysł takiej organizacyi „chłopskiej", osobiście kierowanej przez najświetniejszych z świetnych panów, bratających się z chłopami, jak niegdyś magnat polski ze „szlachcicem na zagrodzie" — pomysł to był zbyt chytry i zbyt nowy, aby nie olśnić prostaczych umysłów, ociężale myślących i niewyćwiczonych w subtelnościach politycznych. Przytem niezręczna taktyka partyi socyalistycznej wobec kwestyi chłopskiej (obacz zjazd wrocławski) ułatwiała junkrom robotę. Wszystko to odbiło się na ogólnych wyborach r. 1898, jak też i na wyborach uzupełniających, spowodowanych przez śmierć lub rezygnacyę pojedyńczych posłów w ciągu następnych lat.

Lecz dzisiaj to się zmieniło A zmieniło się od chwili, kiedy w r. 1901 rząd ogłosił projekt nowej taryfy celnej. Rząd niemiecki, to niestety to samo co rząd pruski, a rząd pruski, to rząd junkrów; to też ten projekt nowej taryfy celnej — to od początku do końca jedna niesłychana bezczelność. Dotychczas parlament uchwalał tylko cła *maksymalne*, a rządowi wraz z radą rzeszy (Bundesrat *) zostawiał pełnomocnictwo do zniżania tych ceł aż do zera w stosunku do takich państw, któreby odpowiednio zniżały cła na niemieckie towary; tym razem zaś rząd sam wnosi propozycyę, aby parlament z góry związał rządowi ręce przez uchwalenie *ceł minimalnych*, którychby już rządowi pod żadnym warunkiem zniżyć nie było wolno. A mianowicie cła na cztery główne gatunki zboża mają być podwyższone w następujący sposób:

	Obecne cło od 100 kilogramów	Przyszłe cło minimalne	Przyszłe cło maksymalne
Pszenica	3·50 marek	5·30 marek	6·50 marek
Żyto	3·50 „	5·00 „	6·00 „
Owies	2·20 „	5·00 „	6·00 „
Jęczmień	2·00 „	3·00 „	4·00 „

Jeśli bierzemy pod uwagę, że cena stu kilogramów pszenicy wynosiła w Niemczech w ostatnich latach około 15—20 marek, że więc proponowane cła wynosiłyby w okrągłej liczbie trzecią część obecnej ceny towaru, to jasnem jest dla każdego, że byłaby to poprostu szalona lichwa. Kilkomiesięczne oblężenie wszystkich wielkich miast w Niemczech niemogłoby gorzej oddziałać na odżywienie mas robotniczych, niż taka zbrodniczą ręką wywołana sztuczna drożyzna chleba. Ale na tem nie koniec. Nowy projekt taryfy okazał także, że owe podszywanie się pod rzekomą obronę interesów *chłopskich* gospodarstw było niesłychanie bezczelnym fałszem. Albowiem wszystko, co junkier sprzedaje, ma być sztucznie podrożone przez podwyższenie cła; a więc i takie towary, które junkier sprzedaje chłopom, jak np. nasiona na posiew, a także konie, woły itd. (jedynem

*) Jestto reprezentacya rządów pojedyńczych stanów rzeszy niemieckiej; członkowie tej instytucyi, pełniącej dość ważne funkcye rządowe, mianowani są przez rządy pojedyńczych krajów (Prus, Bawaryi, Wirtembergii itd. itd.) Jednakże skład tej „rady rzeszy" jest taki, że Prusy mają w nim zapewnioną większość.

bydłem, które według projektu bez cła do Niemiec wprowadzać wolno, jest — — osioł); a dalej także takie materyały roślinne, które chłop, hodujący bydło, jako paszę dla swego bydła kupuje, jak n. p. kukurydza, w wielkich ilościach z za morza do Niemiec sprowadzana, oraz różne trawy i zioła. Wszystkie tego rodzaju towary chłop niemiecki ma odtąd kupować wyłącznie u junkra, za ceny przez junkra dyktowane!

IV.

I oto przebrała się miarka. Nietylko, że partya socyalistyczna, z góry przygotowana do zwalczania zamachów protekcyonistycznych, od chwili ogłoszenia nowego projektu taryfy podwoiła swoją agitacyę i z jaknajpomyślniejszym skutkiem poczęła podburzać przeciwko lichwie zbożowej całą ludność pracującą miast i osad przemysłowych; nietylko, że wolnomyślni agitują w tym samym duchu; zaślepiony egoizm junkrów wywołał samorzutny ruch antyjunkierski pośród chłopów niemieckich. Tak np. w okolicy zwanej Süder-Dithmarschen*) chłopi całego okręgu na publicznym wiecu oświadczyli się przeciwko cłom, jako szkodliwym dla całej ludności pracującej. W Oldenburgu całe wsie, od wójta aż do najmłodszego parobka, podpisały petycye przeciwko cłom zbożowym, a ruch ten w ciągu kilku tygodni ogarnął całe Wielkie Księstwo oldenburskie. Na południu znowu, górale bawarskiego okręgu Berchtergaden wypowiedzieli się w tym samym sensie; to samo uczynili chłopi wirtemberscy, ba nawet włościanie meklenburscy (organizowani w „Schutzverband mecklenburgischer Landwirte“) i różni inni. W Zgorzelcu na Dolnym Śląsku sekcya „Związku rolników“, buntując się przeciw szlacheckim kierownikom Związku, oświadczyła się przeciwko cłom!

O kilka miesięcy wcześniej od tego buntu chłopów przeciwko szlacheckim konserwatystom rozpoczął się inny, nie mniej ciekawy bunt: bunt robotników katolickich przeciwko księżom-centrowcom. Wiadomo, że w katolickich okręgach Niemiec (w Nadrenii, Westfalii, Bawaryi górnej i niższej i t. d.), nietylko większość chłopstwa i drobnomieszczaństwa, ale też i znaczny odłam robotników przemysłowych słucha politycznego kierownictwa partyi centrum — jak to zresztą czyni również, lub czyniła dotąd, większość robotników polskich na Górnym Śląsku. Wiadomo też, że między tymi katolickimi robotnikami, aby ich strzedz przed związkami zawodowymi, kierowanymi przez socyalistów, kler organizuje odrębne „związki chrześcijańskie“, które wprawdzie dość szybko rosną, ale też szybko przesiąkać zaczynają właśnie tym duchem, któryby centrowcy pragnęli trzymać zdala od swoich owieczek. Otóż te związki katolickich robotników, szczególnie w Nadrenii, coraz liczniej oświadczają się przeciwko cłom zbożowym i domagają się od „swoich“ posłów, tj. centrowców, obrony ludu roboczego przeciw lichwiarskim zamachom. Niemała to przykrość dla centrum, popieranego i wspieranego przez magnatów o istnie książęcych posiadłościach ziemskich, takich jak hr. Ballestrem. To też jeden z centrowców już wyrzekł prorocze słowo, że „taryfa celna będzie prochem, który centrum rozsadzi“. Jakoś bardzo na to wygląda, jak gdyby ten pobożny mąż miał racyę...

---

*) Chłopi krainy Dithmarschen (tj. zachodniego wybrzeża dzisiejszego Holsztynu) w średnich wiekach odgrywali rolę północnych Szwajcarów — walecznego, *wolnego* chłopstwa, które nieraz armie króla duńskiego na głowę pobiło. Do dziś dnia jestto przeważnie dziedzina wolnych chłopów, jak zresztą całe wybrzeże morza północnego, od granicy holenderskiej aż do duńskiej.

To wszystko odbija się coraz wyraźniej na uzupełniających wyborach do rady państwa. Nie mówię o tem, że wrocławski mandat zmarłego towarzysza Schönlank'a przeszedł w ręce tow. Edwarda Bernsteina; nie jest to dla partyi nowa zdobycz, bo zachodni okręg wrocławski oddawna już jest zapewnioną jej dziedziną. Ale i w przeważnie wiejskim okręgu Döbeln-Rosswein (w królestwie saskiem) mandat zmarłego „narodowego liberała" Lehr'a zdobytym został przez tow. Grünberg'a; w innych okręgach zaś, jak np. w księstwie Schaumburg-Lippe, zwyciężyli wolnomyślni, poparci przez socyalistów. Kandydaci junkierscy zwyciężają już tylko w najbardziej zacofanych okręgach wschodnio-łabskich; a najbardziej zacofanymi są właśnie te, gdzie żywioł polski lub też litewski istnieje, ale na samodzielną politykę dotąd się jeszcze nie zdobył.

Myślałby ktoś, że takie doświadczenia skłaniają junkrów do skromności i do zmniejszenia swoich żądań. Gdzie tam! Oni wciąż krzyczą w niebogłosy, że rząd im *za mało* daje; że właśnie ów rządowy projekt wygłodzenia robotników i zrujnowania chłopów zawiera tak niskie cła, że „zagrożone rolnictwo" w żaden żywy sposób się nimi zadowolnić nie może; że gdyby tak niskie cła przyszły do skutku, toby zaufanie „rolników" do rządu i monarchii na szwank wystawione zostało! Pięć marek cła od stu kilogramów pszenicy — to za mało, trzeba koniecznie uchwalić siedem, osiem, bodaj dziesięć marek!! Bardzo prawdopodobnem jest, że chytrzy kierownicy „Związku rolników" świadomie odgrywają zuchwałą komedyę, przez którą chcą zapewnić przyjęcie projektu rządowego, który przez kontragitacyę swoją przedstawiają w świetle projektu kompromisowego, na który „rolnicy" zgodzić się mogą tylko dzięki nadzwyczajnej swojej ofiarności patryotycznej.

Ale nie uda się ta komedya! Lud się już nie da oszukać. Przy otwarciu jesiennej sesyi rady państwa socyaliści przedłożyli petycyę przeciwko cłom zbożowym, noszącą *przeszło trzy miliony osiemset tysięcy podpisów!* Były tam i tysiące podpisów polskich, w znacznej części przez naszą dzielną „Gazetę Robotniczą" zebranych.

V.

A sytuacya w radzie państwa?

Mówiłem już, że za podwyższeniem ceł oświadczają się: konserwatyści wolnokonserwatyści, „narodowo-liberalni", a również, mimo różnych wykrętów i dwuznaczności — centrum. *Za podwyższeniem ceł zbożowych jest również i Koło polskie,* jak to przystoi na reprezentacyę magnatów i obszarników polskich, zupełnie mylnie poczytywaną przez naiwnych za reprezentacyę polskiego *narodu.* A więc w zasadzie większość dla podwyższenia ceł jest zapewnioną, i to duża większość. Jednakże materya jest ogromnie zawiła (nowa taryfa celna obejmuje 946 pozycyi!), a przytem i w łonie większości opinie są różne: posłowie z łaski „Związku rolników" domagają się jeszcze dalej idących podwyższeń, centrowcy nadreńscy, drżący o głosy robotnicze, chętnieby zniżyli troszkę choćby tylko cła na samo zboże. Oprócz tego nowa taryfa zawiera także podwyższenie ceł na towary przemysłowe, a i tutaj interesy różnych grup kapitalistycznych wzajemnie się krzyżują. A więc jak zwykle w podobnych wypadkach, projekt odesłano do komisyi. W tej komisyi wszystkie partye są reprezentowane, a zatem i wolnohandlowa lewica: socyaliści oraz wolnomyślni. I oto weszło w życie to, czem prasa socyalistyczna już od roku prawie groziła: *obstrukcya.*

Nie łudźmy się pozorami! Obstrukcya parlamentarna przejawia się niemal w tylu różnych odcieniach, ile jest w Europie różnych temperamentów rasowych. Obstrukcya irlandczyków w parlamencie angielskim — to przeciągłe, ponuroaciekłe jeremiady, tu i ówdzie zabarwione krwawą ironią, a od czasu do czasu

przerywane scenami formalnego buntu, scenami pełnemi patosu, gniewu, wściekłości; obstrukcya austryacka — to wymyślanie członkom większości od kretynów, złodziei, łajdaków i wszelkiego rodzaju zoologii, to kocia muzyka, to obrzucanie przeciwników kałamarzami, a nareszcie napaść na prezydyum, rozrzucanie aktów prezydyalnych po sali i uderzanie dzwonkiem prezydyalnym — w łeb prezydenta; obstrukcya włoska — krótkotrwała, dramatyczna, ognista, a kończąca się nieraz zbiorową bójką mniejszości z większością, przyczem waleczne pary walczących tarzają się w kurzu na podłodze; obstrukcya niemiecka — to obstrukcya na pozór chłodna, przyzwoita, obstrukcya w formach niemal salonowych, ale najwytrwalsza i bodaj najskuteczniejsza.

W danym wypadku rachunek socyalistów (jak też i wolnomyślnych, którzy im w tej sprawie wcale poczciwie sekundują) jest prosty i pewny. Wedle ugód międzynarodowych, najdalej na przyszły rok traktaty handlowe muszą być odnowione; wedle konstytucyi niemieckiej, najdalej na lipiec 1903 rozpisane być muszą ponowne ogólne wybory do rady państwa. A tymczasem projekt taryfy ma 946 pozycyi; a do każdej pozycyi — czy to „ziemniaki świeże", czy też „cukierki z kremem", czy to „gwoździe mosiężne", czy też „lalki o ruchomych oczach", czy to „pocztówki", czy to „lokomotywy o parciu wysokiem" — można wypalić kilka mówek, stawić całą seryę wniosków, proponować różne poprawki, skreślenia, uzupełnienia; a to wszystko przy najsumienniejszem przestrzeganiu porządku dyskusyi! W ten sposób w ciągu dwumiesięcznych narad — od połowy stycznia do połowy marca — komisya załatwiła zaledwie 43 pozycyi, poczem poszła na wielkanocne wakacye. To znaczy, że gdyby się narady miały toczyć dalej tak jak dotąd, toby upłynęły przynajmniej *trzy lata*, nimby projekt rządowy był przedyskutowany po raz pierwszy w komisyi tylko! Junkierscy członkowie komisyi wraz z polskim junkrem, Komierowskim, (jednym z najskrajniejszych miłośników lichwy zbożowej), niecierpliwią się, złoszczą, szamocą, ale to wszystko nic im nie pomaga. Socyaliści i wolnomyślni z niewzruszonym spokojem godzinami całemi prawią o każdej drobnostce, a niecierpliwe okrzyki junkrów z ironiczną uprzejmością podchwytują, jako przyczynki do jeszcze obszerniejszego wysnuwania mów swoich, przeplatanych dobrodusznymi na pozór dowcipami — aż wreszcie junkrowie zrozpaczeni zamykają posiedzenie i uciekają do eleganckich swoich kasyn i klubów, aby tam dla odświeżenia strapionego ducha zagrać w karty! Zanudzenie wroga na śmierć stało się metodą rewolucyjną, chroniącą lud od zbrodniczej chciwości pańskiej.

Rząd więc siedzi jak mysz w pułapce. Na przyszły rok zmuszonym będzie do prowizorycznego przedłużenia na rok dotychczasowych traktatów handlowych; a tymczasem obecna rada państwa po pięcioletnim żywocie, normalnym dla tej instytucyi, umrze naturalną śmiercią, a nad jej trumną rozpoczną się ogólne wybory, których hasłem agitacyjnem będzie walka o chleb! Biada wtenczas rządowi, biada junkrom, biada centrowcom nad Renem i na Górnym Śląsku, biada „narodowym liberałom" wraz z Sattlerem i innymi wilkami hakatyzmu! A biada też i Kołu polskiemu, kołu wrogów ludu polskiego!

Pewnikiem jest już teraz, że w przyszłej radzie państwa i wolnomyślni, i socyaliści zasiędą w liczbie przynajmniej o połowę zwiększonej. Kto wie nawet, czy w tym przyszłym parlamencie niemieckim socyaliści nie będą najsilniejszą z partyi.

Tymczasem zaś narady komisyi celnej toczą się dalej, jak gdyby chodziło o najobojętniejszą rzecz w świecie, a korespondenci gazet już ziewać zaczynają. A i poza parlamentem panuje w Niemczech spokój, dziwnie kontrastujący z krwawymi rozruchami na wschodzie i zachodzie, w Rosyi i Belgii...

Ale jestto cisza przed burzą.

Dr. Władysław Gumplowicz

Rzecz o t. zw. Narodowej Demokracyi.

I.

Uwagi wstępne.

W ostatnich czasach jesteśmy świadkami niesłychanie szybkiego rozrostu prasy kierunku narodowo-demokratycznego, inaczej zwanego „wszechpolskim". Do istniejących dawniej „Przeglądu Wszechpolskiego", „Polaka", „Pochodni" i „Teki" przybył w ostatnich czasach szereg pism codziennych. „Dziennik Berliński" w Berlinie z pisemka dość bezbarwnego przekształca się na organ o wyraźnych tendencyach narodowo-demokratycznych. Takiej samej metamorfozie ulega istniejący oddawna „Goniec Wielkopolski". We Lwowie narodowi demokraci obejmują na własność „Wiek XX", a oprócz tego biorą w swe ręce „Słowo Polskie", dotychczasowy organ demokratów galicyjskich. W ostatnich czasach katowicki „Górnoślązak", założony dla spekulacyi przez Biedermanna, przechodzi na własność narodowych demokratów, którzy mają w najbliższej przyszłości i w Dortmundzie (w Westfalii) własny organ posiąść. Ocenić wpływów tej prasy nie jesteśmy w stanie, i jakkolwiek niektóre z tych organów pędzą żywot suchotniczy, licząc zaledwie po kilkaset prenumeratorów, to jednak sama ich ilość świadczy o dość szerokiem kole ludzi, przyznających się do zasad narodowej demokracyi.

Największy wpływ ma ten kierunek wśród młodzieży. Cała młodzież antysocyalistyczna wyższych zakładów naukowych Europy Zachodniej i Niemiec występuje pod firmą narodowo-demokratycznej. I w zaborze pruskim, wśród studenteryi i najmłodszego pokolenia inteligencyi zawodowej, jest sporo takich, którzy siebie do narodowych demokratów zaliczają. W Galicyi część młodzieży uniwersyteckiej również ideałom narodowo-demokratycznym hołduje. Narodowi demokraci pracują w tajnych kółkach gimnazyalnych zaboru rosyjskiego i austryackiego, wpływają w pewnej mierze na młodzież rzemieślniczą w Królestwie, a rozpowszechnianie literatury nielegalnej wśród chłopów zaboru rosyjskiego gdzieniegdzie do niedawna było ich monopolem.

Jakkolwiek tendencya do utworzenia stronnictwa, opierającego się na „ludzie" jest wśród narodowych demokratów dość silna, jednakże są oni i zapewne nazawsze stronnictwem par excellence inteligenckiem pozostaną. Chłop chętnie wydawnictwa narodowo-demokratyczne (jak zresztą wszelkie nielegalne) czyta, ale całe jego należenie do stronnictwa narodowo-demokratycznego ogranicza się właśnie do tego czytania „Polaka" i chyba do płacenia jakiejś kwoty na skarb narodowy w Rapperswylu. Opiera się tedy stronnictwo wyłącznie na inteligencyi i młodzieży.

Nie należy jednak przypuszczać, ażeby wszyscy ci „narodowi demokraci", których spotyka się obecnie na każdym kroku, byli rzeczywiście zwolennikami poglądów „Przeglądu Wszechpolskiego" i działaczami w myśl tych poglądów. Po za jednostkami, działalnością narodowych demokratów kierującemi i bardzo szczupłą garstką wykonawców zarządzeń kierowników, do „stronnictwa" zalicza się mnóstwo osób, nie mających nic wspólnego ani z duchem narodowej demokracyi, ani z jej działalnością. Bywały już takie wypadki, że działacz narodowo-demokratyczny wpadał w ręce żandarmów jedynie z tego powodu, że pomiędzy

„zorganizowanymi“ narodowymi demokratami nie znalazł się nikt, ktoby chciał w chwili gorącej wziąć na przechowanie walizkę z nielegalszczyzną patryotyczną. Takich „narodowych demokratów“ jest pono najwięcej, gdyż obecnie firma narodowo-demokratyczna ogromnie modną się stała.

Bardzo liczną kategoryę „narodowych demokratów“ stanowią ludzie, krytykujący zajadle wszelkie wystąpienia „Przeglądu Wszechpolskiego“ i skwapliwie wyrzekający się wszelkiej z nim solidarności, należący zaś (przeważnie „duchem“) do stronnictwa jedynie dla tego, że to należenie do niczego nie obowiązuje i jednocześnie od wszelkich robót nie-narodowo-demokratycznych pozwala się usuwać. Jeszcze liczniejszą jest kategorya ludzi, sympatyzujących z narodową demokracyą bez żadnego pojęcia o dążnościach narodowej demokracyi. Kategorya ta zwykle nie czytuje nawet wydawnictw swojej partyi i ze zdziwieniem dowiaduje się, że „Przegląd Wszechpolski“ to lub owo głosi.

Do narodowej demokracyi zalicza się i ten stosunkowo dość znaczny zastęp zacnych jednostek, przeważnie niewiast, które w cichości, bez żadnej reklamy, prowadzą skromną, a pożyteczną pracę uczenia dzieci wiejskich i robotniczych, szerzenia wśród włościan literatury legalnej i nielegalnej, zbierania pieniędzy na różne cele narodowe i t. d., nie myśląc bynajmniej, czy ta ich działalność zgodna jest z tym lub owym programem.

Mówiłem tu o inteligencyi już na stanowiskach. Co do młodzieży, to tu firma narodowo-demokratyczna jeszcze bardziej jest modna i skupia żywioły najróżnorodniejsze. Obok czystej wody ugodowców i klerykałów, sympatyzujących z narodową demokracyą jedynie z tego powodu, że ta zwalcza socyalistów, widzimy tu młodzieńców o temperamencie rewolucyjnym, którzy w gruncie rzeczy sympatyzują z ideą socyalistyczną, ale naiwnie wierzą oszczerstwom, rzucanym na socyalizm polski przez taką „Tekę“; widzimy tu ludzi, rwących się do roboty praktycznej wśród ludu, obok tchórzów i niedołęgów, którym przynależność do narodowej demokracyi pozwala wykpić się od rozruchów studenckich *) lub jakiejś innej manifestacyi; widzimy tu zwykłych brukotłuków i fikalskich obok ludzi, szczerze i poważnie biorących frazesy patryotyczne i do działalności przyszłej gotujących się. Jednem słowem można tu spotkać wszystkie żywioły, jakie są wśród młodzieży reprezentowane, nie wyłączając mistyków, zatopionych w Towiańskim, filaretów, spłodzonych przez prof. W. Lutosławskiego, lub ludzi, pragnących reformować Polskę na podstawie fantasmagoryi Szczepanowskiego.

Jakkolwiek studenterya i młoda inteligencya zawodowa jest tą opoką, na której narodowa demokracya buduje swój „kościół“, to jednak w szeregach narodowo-demokratycznych i właścicieli ziemskich, i fabrykantów, i księży nie brak, a wszyscy oni czują się zupełnie dobrze na gruncie programu tego stronnictwa...

Ta nieograniczona pojemność narodowej demokracyi stanowi jedną z zasadniczych cech jej charakteru, główne źródło jej zewnętrznego powodzenia i wewnętrznej słabości, co zresztą będę miał sposobność wykazać niżej.

Sądzę, że wobec szybkiego wzrastania wpływów narodowej demokracyi w ostatnich czasach, należy przyjrzeć się bliżej jej poglądom, scharakteryzować ściślej ich istotę i ostatecznie określić miejsce tego kierunku w szeregu prądów, nurtujących nasze społeczeństwo. Należy to uczynić *sine ira et studio*, objektywnie, dotychczasowe bowiem wystąpienia socyalistów przeciwko narodowym demokratom cechowało, jak mi się przynajmniej wydaje, pewne rozdrażnienie pewien specyficzny ton, nie licujący ze stanowiskiem krytyków objektywnych.

---

*) Zastrzegam się, że osobiście jestem przeciwnikiem udziału studentów polaków w rozruchach ogólno-rosyjskich.

Nie chcę, broń Boże, twierdzić, ażeby ten ton usprawiedliwionym nie był. Rozumiem, że taktyka narodowo-demokratycznych publicystów wobec socyalizmu, a zwłaszcza Polskiej Partyi Socyalistycznej, że wszystkie jej świadomie popełniane kłamstwa i oszczerstwa mogą najspokojniejszych ludzi z cierpliwości wyprowadzić, ale przyczyna tego rozdrażnienia, o którem wspominałem, zdaniem mojem tkwi głębiej.

Wszak różnego autoramentu konserwatyści i klerykali używają w walce z socyalistami niekiedy jeszcze haniebniejszej broni, aniżeli „Przegląd Wszechpolski“, a jednak piętnując wybryki „Czasów“ czy „Krajów“ lub szalbierstwa klerykałów, publicyści socyalistyczni nie przemawiają z taką namiętnością, jak karcąc narodowych demokratów. Tłómaczy się to, zdaniem mojem, w sposób naturalny tym stosunkiem, jaki istniał niegdyś i to nie tak znów dawno pomiędzy radykalnem skrzydłem narodowców a socyalistami. Socyaliści polscy, a przynajmniej część ich, wciąż jeszcze nie mogą się rozstać ze złudzeniem, że dzisiejsi epigonowie dawnych rewolucyjnych patryotów nie przestali być partyą postępową, szczerze demokratyczną, rewolucyjną, powstańczą. Znacznej liczbie socyalistów polskich dotychczas się wydaje, że narodowi demokraci to nasi — chwilowo błądzący — naturalni sprzymierzeńcy w walce o szczęście ludu polskiego. Dla tego wszelkie, nielicujące z demokratyzmem prawdziwym, z postępem i rewolucyjnością czyny tych domniemanych „sprzymierzeńców“ wywołują wśród socyalistów polskich większe oburzenie, aniżeli antysocyalistyczna działalność jawnie reakcyjnych żywiołów. Jednem z zadań pracy niniejszej będzie właśnie rozproszenie tego złudzenia za pomocą analizy szczegółowej poglądów narodowej demokracyi na najbardziej żywotne kwestye naszego życia polityczno-narodowego.

Na wstępie należy poznać genezę dzisiejszej narodowej demokracyi. Dla uniknięcia podejrzeń o stronniczość, będę się posiłkował źródłem tak niepodejrzanem jak „Przegląd Wszechpolski“ *).

„Gdy w dwadzieścia lat po powstaniu Hurko obejmował rządy Królestwa, ogół polski, acz nie żywiący żadnego przywiązania do panującego rządu, zachowywał się wcale legalnie i mowy o jakiejś zorganizowanej walce z rządem nie było. Pomijamy, rozumie się, ruch socyalistyczny, pozbawiony wówczas całkiem charakteru narodowego **)... Narodziny wszakże jakiegoś zorganizowanego ruchu nastąpiłyby prawdopodobnie nie tak prędko i rozwój jego nie poszedłby w tak szybkiem tempie, gdyby nie okoliczność, że postarano się o przyśpieszenie sprawy ze strony rządu. Czynnikiem przyśpieszającym był system ostrej rusyfikacyi, zainaugurowany przez Apuchtina i Hurkę. Dzięki podrażniającemu działaniu organów rządowych ruch się narodził prędzej, zanim materyał do niego dojrzał. Dlatego to wystąpienia na zewnątrz biorących udział w ruchu żywiołów miały pewne znamiona poronionego płodu... Sądząc z pierwszych odezw, w których się ten ruch wypowiedział, można było dojść do przekonania, że ten nowy zarodek jakiegoś stronnictwa nie posiada żadnej przewodniej myśli, żadnego pozytywnego programu, że cała rzecz sprowadza się do głośnego protestu przeciw uciskowi, przeciw rusyfikacyi. Nie mogło zmienić tego poglądu pewne zabarwienie owych odezw pierwiastkami radykalno-demokratycznymi, bo i tam nie było myśli przetrawionej, wyrażającej się w pozytywnych dążeniach...“ („Prz. Wsz.“ 1897 Nr. 5). „Młodzież w dobie pierwszych wystąpień demonstracyjnych stanowiła

*) Wogóle bardzo często i obficie będę wyjątki z prasy narodowo-demokratycznej przytaczał, gdyż jestto jedyny sposób objektywnego ilustrowania mych argumentów.

**) Jestto fałsz, którego na łamach „Przedświtu“ nie warto nawet zbijać.

główną masę uczestników ruchu, ale były tam i nieliczne jednostki starsze, współcześni epoki największego rozkwitu t. zw. pracy organicznej, którzy w tym okresie politycznej jałowości nie poszli z ogólnym prądem, nie abdykowali z wszelkich aspiracyi, ale pracowali myślą nad wysnuciem z życia nowych wskazań... Pod ich wpływem zaczęła się wśród młodzieży umysłowa fermentacya, zrodził się nowy, współczesny całkiem ruch narodowy, szukający oparcia w dążeniach demokratycznych, rzucający hasło pracy dla ludu... Młodzież hasła ludowe przyjęła z zapałem i rzuciła się przedewszystkiem do pracy nad oświatą ludu... Z biegiem czasu wszakże ruch musiał się zasilać coraz nowszymi zastępami młodzieży... te nowsze zastępy młodzieży... usiłowały zaprawić ruch... teoretycznym socyalizmem. Stąd to w pierwszych objawach zewnętrznych nowego ruchu daje się czuć jakaś nuta socyalistyczna... Ta nie harmonizująca z całością nuta prędko przebrzmiała, ale, niestety, jednocześnie jakby usunięte zostały na plan drugi społeczne, ludowe postulaty ruchu. O ile można było sądzić z objawów zewnętrznych, wszystko się sprowadziło do walki z uciskiem, z rusyfikacyą, do propagandy przeciwrządowej... Po kilkoletnim okresie, w którym silnie uwydatnił się społeczny, demokratyczno-ludowy charakter ruchu, w którym ogłoszono „uznanie ludu za najgłówniejszy składnik społeczności narodowej“ i rzucono hasło podporządkowania jego interesom — interesów warstw innych*), w którym zabrano się z istotnym zapałem i energią do pracy nad oświatą ludności włościańskiej, nastała doba manifestacyjnych wystąpień przeciwrządowych, które z natury swojej pochłonęły uwagę ogólną, spychając coraz bardziej na plan drugi działalność wewnątrz społeczeństwa, wśród ludu. Manifestacye poruszyły silnie umysły... z drugiej wszakże strony okazały się dosyć kosztownemi, wywołując aresztowanie i wysłanie z kraju paruset zdolnych i czynnych ludzi. Widocznym skutkiem tego przerzedzenia pierwszych szeregów ruchu było pewne jego osłabienie, dające się zauważyć w r. 1894, w którym odbyła się już wspomniana ostatnia z nich. W następstwie, gdy pod koniec tego roku dały znać o sobie żywioły lojalne, rozpoczynając t. zw. akcyę ugodową, ruch przeciwrządowy**) nie objawia się przez pewien czas wcale, jakby nie istniał.. Wreszcie po dłuższem milczeniu odzywa się z tej strony głos protestu przeciw „polityce ugodowej“ i rozpoczyna się systematyczna przeciw niej kampania.., znów pochłaniając zbyt jednostronnie uwagę“. Autor artykułu cytowanego uważa „zbytnie zaprzątanie uwagi i czasu“, walką z ugodowcami „pewnem zboczeniem z właściwej drogi“. Zboczenie to „oddziałało do pewnego stopnia szkodliwie na sam ruch, zmniejszyło jego intensywność i świadomość siebie, a jeśli rozszerzyło sferę zwolenników, to niewielka stąd korzyść, pozyskane bowiem nowe żywioły są zbyt niewyraźne, zbyt niepolityczne, zanadto zbliżone do tej liczebnej liberalno-mieszczańskiej sfery antyugodowej... która żadnej wartości politycznej nie przedstawia“. („Prz. Wsz.“ 1897. Nr, 6).

W ten sposób został przedstawiony rozwój kierunku, którego podstawą, według słów tegoż samego autora „jest niezachwiana wiara w siły narodowe, w nieustanny rozwój tych sił dzisiaj, pomimo trudnych warunków, w których żyjemy, wreszcie w to, że własnemi siłami zdobędzie się wszystko, co inne, wolne narody mają“... Rozumie się, taką wiarę może mieć tylko stronnictwo demokratyczne, widzące w ludzie „najgłówniejszy składnik społeczności narodowej“. W tym samym artykule udowadnia się potrzeba programu, i oto w parę tygodni później, w tymże samym „Przeglądzie Wszechpolskim“ ukazuje się „Program stronnictwa demokratyczno-narodowego w zaborze rosyjskim“. Nie będę tu omawiał tego programu, ponieważ w dalszym ciągu, poszczególne poglądy

*) Pierwotny program dawnego „Głosu“.
**) Naturalnie tylko patryotyczny.

obecnych narodowych demokratów omawiając, wciąż będę doń powracał. Zaznaczę tylko, że odbija on doskonale tę chwilę przełomową, w jakiej powstał; można w nim znaleść i te pierwiastki, jakie znamionowały ruch patryotyczny przed rokiem 1897 *), i te, które w dalszym swym rozwoju stanowią cechę zasadniczą dzisiejszej narodowej demokracyi — takiej, jaka się odźwierciadla w „Przeglądzie Wszechpolskim" w latach ostatnich.

Otóż w pracy mej będę analizował narodową demokracyę taką, jaką jest i jaką staje się po ogłoszeniu swego programu i po wystąpieniu w charakterze stronnictwa zorganizowanego. Jeśli zaś będę powoływał się na źródła wcześniejsze, to jedynie w celu wykazania różnic pomiędzy pierwotnym ruchem ludowo-opozycyjnym, kierowanym przez ludzi, skupiających się dokoła „Głosu", a teraźniejszą narodową demokracyą, reprezentowaną przez „Przegląd Wszechpolski", który właściwie tylko od owego czasu jest *organem* stronnictwa, ponoszącego odpowiedzialność za wypowiadane w nim poglądy.

b. czł. L. N.

Z powodu „Polityki Niewiary".

I.

Na artykuł tow. S. Karskiego w N 1 r. b. p. t. „Polityka niewiary", wymierzony specyalnie przeciw wszelkiemu najlżejszemu przypuszczeniu, że przyszła rewolucya w Polsce mogłaby zakończyć się niezupełnem zwycięstwem socyalizmu, można, jak sądzę, odpowiedzieć bardzo krótko — oczywiście zostawiając zupełnie po za obrębem dyskusyi całą jego „inżenieryę" czy „architekturę społeczną"... Przedewszystkiem zauważę, że tow. S. K. widocznie sam nie ma na myśli właściwego zwycięstwa socyalizmu, czyli zamiany społeczeństwa na socyalistyczne, zniesienia klas i prywatnej własności środków produkcyi, gdyż mówi o takiem „socyalistycznem państwie", w którem „*klasa* robotnicza ma być" jeszcze „osią polityki narodowej"(!), o skonfiskowaniu majątków *przedawczyków jedynie*, a nawet o „zajęciu przez *drobnomieszczaństwo* miejsc, opróżnionych przez czynownictwo"! Zapewne więc autor musi mieć na myśli conajwyżej stan „dyktatury proletaryatu". Choć i w takim razie bezwzględna jego pewność obronić się nie daje. Dziwi on się, jak można przypuszczać, że „ludzie, którzy wyprowadzą państwo z chaosu, nie potrafią później znaleść parlamentarnej większości". Jednakże względnie niedawna historya francuzkiego Rządu Obrony Narodowej jest uderzającym przykładem czegoś podobnego: radykalizm z Gambettą na czele ocalił Francyę od hańby i ostatecznego pognębienia przez Niemców, a w Zgromadzeniu Wersalskiem i późniejszym parlamencie zapanowała aż do r. 187[illegible] skrajna klerykalna reakcya! Nie mówię już o niepowodzeniu programu „Republiki socyalnej", którego wyrazem był pogrom Komuny.

*) Rok ten z wielu powodów można uważać za przełomowy w dziejach patryotyzmu polskiego. Właśnie w tym roku, jak powiedział najwybitniejszy przywódca obecnej narodowej demokracyi w Zurychu podczas zjazdu młodzieży: „tam w Warszawie zapadło się wszystko, cośmy przez tyle lat budowali" — ugoda ogarniając inteligencyę polską pozbawiła sztab narodowej demokracyi jego armii. W tym też roku najwyraźniej pokazało się podczas przyjazdu cara do Warszawy, że siłą, do której należy przewodnictwo i kierownictwo w walce rewolucyjnej, jest w Polsce partya socyalistyczna.

Wracając na nasz grunt, musimy zauważyć : 1-o że wcale nie przypuszczamy, jak tow. K., aby ofiary, których zażądamy od naszych klas posiadających były tak małemi. Klasom posiadającym wszędzie chodzi przedewszystkiem o „kieszeń", a dopiero dla obrony kieszeni o władzę polityczną. W chwili powstania będą one chciały ją zdobyć. I gównem źródłem wewnętrznem, z którego wypływa wrogi stosunek Nar. Demokracyi do nas, jest i będzie wstręt do rewolucyi społecznej właśnie, którą my będziemy chcieli razem z polityczną przeprowadzić. 2-o Jednakowoż nie opór klas posiadających przeszkadza nam być zupełnie pewnymi całkowitego zwycięstwa, a inna możliwość, której tow. S. K. zdaje się wcale nie domyślać — możliwość niedostatecznej dojrzałości samej klasy robotniczej, miejskiej i wiejskiej. Nasz rząd rewolucyjny odda kierownictwo produkcyi wraz z jej wszystkiemi korzyściami w ręce robotników samych, ale czy potrafią oni z niego skorzystać, czy nie rozpoczną *niezgód wewnętrznych*, które przygotują grunt dla ekonomicznej reakcyi, za to właśnie ręczyć nie możemy, tembardziej, że nie mamy dziś i mieć nie możemy organizacyi zawodowych — przygotowawczych. Ma się rozumieć, że to zależeć będzie od samego ludu. My „nie sięgamy po władzę, aby mu swą bezsilność pokazać". Nie : my zrzucimy przemocą rewolucyjną gnębiące go okowy, a już rzeczą mas będzie umieć skorzystać ze swobody, nie dać wydrzeć zdobytego stanowiska ekonomicznego. Nie twierdzę, naturalnie, że lud z pewnością okaże się niezdolnym do tego; przeciwnie — i ja mam nadzieję, że zgnieciemy wszelkie próby kontrrewolucyjne. Ale uważam, że jeśli nawet istnieje pewne prawdopodobieństwo częściowego tylko udania się samego planu (nie inżenierskiego), to mamy nietylko prawo, ale i obowiązek przystępować do jego wykonania. Na istnienie zaś takiego prawdopodobieństwa nie chcę zamykać oczu, raz dlatego, że wszelkie zamykanie oczu na coś jest szkodliwem, powtóre zaś dlatego, że jeśli z tej możliwości nie zdamy sobie sprawy i nie wykażemy, jako nie przeszkadza ona wcale jaknajusilniej *dążyć* do Polski socyalistycznej, to może ona pomimo to zawładnąć nagle umysłem tow. Karskiego — i tedy grozi nam utrata tegoż na korzyść czy to N. D., czy S. D. K. P... O swoją zaś cnotę rewolucyjną i przynależność do P. P. S., pomimo przypuszczenia możliwości niezupełnego zwycięstwa socyalizmu w chwili naszej rewolucyi polityczno--narodowej, jestem najzupełniej spokojny.

Michał Luśnia.

II.

Z artykułu tow. Stefana Karskiego w Nr 1 „Przedświtu" dowiedzieliśmy się o rzeczach wprost przerażających. Oto w partyi naszej zagnieździła się „świadoma abnegacya od owoców własnej polityki", rozplenił się w niej „trujący kwiat niewiary", działają w niej „politycy", którzy twierdzą, że „w przyszłej Niepodległej Polsce rządzić będą nie socyaliści, lecz jacyś burżua lub w najlepszym razie coś w rodzaju Narodowej Demokracyi". Nie dość na tem. „Są ludzie, którzy wpadają w podniosły nastrój", słysząc te twierdzenia. Wobec tego tow. St. Karski zadrżał o losy socyalizmu polskiego i energicznie nawołuje niebezpiecznych szkodników do wystąpienia z partyi. Nawołuje ich do tego w imię uczciwości politycznej, albowiem „wzywać w imię socyalizmu po to, aby zbudować burżuazyjną republikę, jest to — jeśli się wzywa świadomie — poprostu cynizm".

Nie wiem, jakie wrażenie wywarło na „polityków niewiary" nawoływanie tow. Karskiego. Może istotnie zawstydzą się i opuszczą partyę, a może i nadal w niej pozostaną — czego zresztą po „cynikach" w zupełności można się spodziewać. Przyznam się, że nigdy w życiu jeszcze nie widziałem żadnego z tych partyjnych „abnegatów" na punkcie rządów socyalistycznych w zdobytej przez nas Polsce; ze wstydem też wyznaję, że dotychczas nigdzie się nie spotykałem

z ich przewrotną argumentacyą, ale, gdybym podzielał ich zapatrywania w formie, oddanej przez tow. Stefana Karskiego, dowodzenie tego ostatniego mogłoby mnie chyba ośmielić do dalszego pozostawania w partyi. I to nie tylko z tego powodu, że jest bardzo słabe, ale i dla tego, że jego „wiara“, stawiana innym za przykład, opiera się nie na niezwruszonej podstawie bezwzględnej pewności, ale na przypuszczeniach, wysnutych z danych, które on *dla siebie* uważa za wystarczające. Zwróćmy uwagę na jego „wyznanie wiary“. Powiada on: „Dążymy do zbrojnego powstania. Zgadzamy się wszyscy, że przy sprzyjających warunkach zewnętrznych powstanie to musi się udać, jeżeli będzie prowadzone drogą prawdziwie rewolucyjną. Wiemy, że pokierować niem w ten sposób mogą tylko socyaliści Albo powstanie będzie prowadzone przez socyalistów, albo niepodległości nie będzie. Raz kwestyę stawiamy w taki sposób, nie ulega wątpliwości, że Rząd Narodowy podczas rewolucyi jest rządem socyalistycznym... Więc przyszły Rząd Narodowy będzie rządem zwycięzkim. Dotychczas jesteśmy w zgodzie, lecz otóż zaczyna się różnica; niektórzy mówią nam, że ten zwycięzki Rząd nie będzie się mógł ostać przy kierowaniu nawą państwową, gdyż nasze stosunki społeczne nie są jeszcze na tyle rozwinięte, aby partya robotnicza mogła stanowić tę opokę, na której kościół przyszłości zostanie zbudowany; drobnomieszczaństwo, chłopstwo, szlachecka inteligencya, księża i t. d. i t. d. wszystko to będzie przeciwko socyalistycznemu rządowi i rząd ten, przeprowadziwszy rewolucyę, będzie musiał runąć, a berło władzy podejmą inne ręce i t. d.“

Jakkolwiek, powtarzam, nie znam osobiście nikogo z tak usilnie zwalczanych przez tow. St. Karskiego „cyników“, ani nie miałem sposobności poznać ich teoryek, to jednak podejrzewam, że tow. Karski musiał ich porządnie skrzywdzić, przypisując im aż tak naiwne poglądy. Z tem większem zdziwieniem przeczytałem następujący ustęp jego artykułu: „.. wszystko to jest najzupełniej możebne. Nikt nie może wiedzieć, co się stanie w przyszłości, a tem samem nie może przewidzieć losów przyszłej rewolucyi polskiej“ — ustęp, po którym dopiero uzasadnia *prawdopodobieństwo* tego, w co sam wierzy. A więc tu chodzi jedynie o prawdopodobieństwo! — zauważy „cynik“ — jakiem że więc prawem tow. St. Karski ma czoło żądać, ażebym usunął się z partyi, której program wyznaję i dla której w miarę sił pracuję, jeśli nie może moim wątpliwościom przeciwstawić nic ponad prawdopodobieństwo, wystarczające dla *niego*, a niewystarczające dla mnie. Nie trzeba zresztą być cynikiem, ażeby nie dać się przekonać argumentom tow. St. Karskiego. Ani jego „inżynierya“, ani jego dziwne pojęcia o „niewinności“ tego, co mają przeprowadzić socyaliści, ująwszy w swe ręce ster władzy, ani jego optymizm na punkcie apetytów naszych klas uprzywilejowanych po wyparciu najazdu nie mogą rościć pretensyi do ostania się wobec krytyki objektywnej *) . . . .

Kończąc moją notatkę, nie mogę nie wypowiedzieć pewnego rodzaju żalu do Redakcyi, która umieściła artykuł tow. St. Karskiego. Wszak wszystko to, co stanowi wartość tego artykułu, wypowiedział już w sposób rzeczowy i pouczający tow. B. A. J. w Nr 9 z roku 1900. A reszta — dodatki ornamentacyjne, w jakimś nad wyraz dziwnym stylu — doprawdy nie zasługuje na uwiecznienie.

Zgorzkniały **).

---

*) Opuszczamy tu ustęp, zawierający też same zarzuty, co i powyższy artykulik tow. M. Luśni. *Red.*

**) Do tego, co mówi tow. Zgorzkniały, a zwłaszcza tow. Luśnia, nie dużo można dodać. Chciałbym tylko poruszyć jeszcze jeden punkt, pominięty i przez jednego i przez drugiego. Nie przypuszczając nawet możliwości istnienia w szeregach naszych ludzi, *świadomie* pragnących się wyrzec owoców własnej działalności, sądzę, że tow. Karski padł ofiarą nieporozumienia. Przypuszczam,

Z KRAJU I O KRAJU

(Moskalofilstwo w zaborze pruskim — Sprawa Zwierowicza. — Socyalizm a prasa. — Związek zawodowy w Poznaniu. — Denuncyacya narodowych demokratów. — Zjazd P. P. S. — Demokraci galicyjscy. Kandydatura p. Stapińskiego. — Protesty młodzieży. — Rola księży. — Skutki okólnika Zwierowicza. — Instrukcya dla stróżów w Wilnie — Protesty chłopskie. — Aresztowania. — Z X pawilonu. — Wydalania. — Nowy Nr „Robotnika").

Moskalofilstwo jest obecnie w zaborze pruskim kierunkiem, bynajmniej nie zasługującym na lekceważenie, gdyż przybiera ono tam w ostatnich czasach kształty tak potworne, że wprost trudno się powstrzymać od podejrzeń co do czystości pobudek tych propagatorów carosławia na gruncie poznańskim. Zapewne, szerząca się coraz bardziej polityka germanizatorska i wszelkie ekscesy

---

że w chwalebnej gorliwości o dobro sprawy gotów jest wyszukiwać szkodników jej nawet tam, gdzie ich wcale niema, mianowicie wśród tych towarzyszy, którzy z wiarą w zwycięstwo naszej sprawy łączą przezorność realnych polityków, biorących pod uwagę w swych obliczeniach wszelkie możliwe ewentualności.

Kapitan okrętu, podejmujący się dostarczyć ładunku do jakiegoś z portów zamorskich, byłby chyba waryatem gdyby ruszał na morze bez wiary głębokiej w pomyślne załatwienie sprawy. Takim samym waryatem byłby kupiec, któryby powierzył swój towar kapitanowi, nie wierzącemu w możliwość wywiązania się z przyjętych na siebie obowiązków. A jednak ileż to okrętów i towarów ginie corocznie w morzu Dowódca, rozpoczynający bitwę, musi wierzyć w to, że ją wygra, gdyż inaczej byłby zbrodniarzem. A jednak, czyż każdy, najgenialniejszy jenerał nie przegrywa bitew? Robotnicy rozpoczynający strejk, wierzą w to, że wymogą spełnienie wszystkich swych żądań, a ileż to strejków przegranych na jeden wygrany! Wobec tego czyż będziemy uważali za „świadomą abnegacyę" postępowanie tego kapitana który, wierząc, że pomyślnie dobije do portu, zaasekuruje swój okręt, lub kupca, który zrobi to samo ze swym towarem? Czyż nazwiemy cynikiem tego jenerała, który wierząc w swe zwycięstwo ułoży taki plan bitwy, któryby zabezpieczył wojsko w razie porażki od klęski ostatecznej i umożliwił mu cofnięcie się w porządku? Czyż skażemy na wyrzucenie z organizacyi taki komitet strejkowy, któryby organizując strejk o 9-godzinny dzień roboczy w fabryce pracującej 10 godzin, potroszczył się o to, aby w razie porażki, zostało uzyskane bodaj pół godziny.

Zupełnie tak samo ma się rzecz z wiarą w zwycięstwo naszych zasad w przyszłej Polsce, zdobytej za pomocą kierowanego przez nas powstania. Bylibyśmy waryatami, gdybyśmy rozpoczynali walkę o coś, nie wierząc w nasze zwycięstwo Ale jednocześnie zasłużylibyśmy na surowe potępienie jako ludzie lekkomyślni, gdybyśmy nie dbali o to, aby niespodziana porażka wyrządziła nam szkody minimalne. Jeśli tow. Karski nazwie taką przezorność „cynizmem", to z równą słusznością może nazwać cynikiem i wyżej wspomnianego kapitana i wszystkich tych wogóle, którzy liczą się z rzeczywistością.

Takie liczenie się ze wszystkiemi możliwemi ewentualnościami może nas daleko łatwiej doprowadzić do utrzymania steru władzy po wypędzeniu najazdu, aniżeli tania „wiara" w to, że nikt z nami nie potrafi konkurować. Przytoczę tu tylko parę przykładów. Wiara tow. Karskiego w to, że opozycya reakcyjna (kontrrewolucya) nic nie potrafi chłopom obiecać, prowadzi w prostej linii do zaniedbywania propagandy naszej i organizacyi wśród ludności wiejskiej. Lekceważenie księży, którzy dzięki swej wspaniałej organizacyi, odrazu będą mogli wytworzyć ośrodek kontrrewolucyi, każe nam zaniedbywać walkę z klerykalizmem we wszystkich jego postaciach i t. d. i t. d.

Red.

hakatystów mogą drogą reakcyi wywołać złudzenie, że pruski bat jest gorszy od rosyjskiej nahajki, gdyż się tej nahajki bezpośrednio, na własnej skórze, nie odczuwa; zapewne, wobec bezdennej naiwności „polityków" zaboru pruskiego, system „straszenia prusaków moskalami" może im się wydać niezwykle dowcipnym i skutecznym, ale to, co wyprawia np. taki „Kuryer Poznański" lub „Dziennik", nie da się wytłómaczyć jedynie naiwnością. Przecież chyba nie napróżno w ostatnich czasach różni „korespondenci" rosyjskich pism gadzinowych poczęli się włóczyć do Poznania, ogłaszając następnie swe wrażenia, skwapliwie przedrukowywane przez poznańskie organa moskalofilskie bez żadnych słów protestu lub krytyki. Trudno, ma się rozumieć, zupełnie stanowczo twierdzić, że moskalofile poznańscy otrzymują nagrodę za swą gorliwość w brzęczącej monecie, ale w każdym razie ta ich gorliwość bardzo jest podejrzana.

Nadzwyczaj nieprzyjemną niespodzianką dla moskalofilów była sprawa biskupa Zwierowicza. Z jednej strony Zwierowicz nie jest socyalistą, którego możnaby wyłączyć za nawias społeczeństwa polskiego, z drugiej — nie podobna jego postępowania uznać za owoc machinacyi żydów warszawskich (tak konserwatyści poznańscy nazywają... narodowych demokratów). Zresztą uczucia katolickie moskalofilów poznańskich są — trzeba to przyznać — jeszcze silniejsze od miłości do Rosyi, i fakt prześladowania biskupa katolickiego musiał ich bądź co bądź oburzyć. Fakt to był, zresztą, tak głośny, że trudno było go zataić, choć druzgotał on odrazu tak misternie budowany przez dłuższy czas gmach bajek o polonofilstwie cara, o ustaniu wszelkich prześladowań polskości i katolicyzmu przez Rosyę, o sympatyach dla polaków wśród najszerszych kół społeczeństwa rosyjskiego i t. d. Moskalofilom poznańskim zrzedły miny. „Kuryer Poznański" zamieścił notatkę o wezwaniu Zwierowicza do Petersburga, trzymaną w tonie podziwu dla czynu biskupa wileńskiego, ale starającą się za wszelką cenę nie dopuścić do osłabienia wiary w Rosyę. Przytaczamy tę notatkę na dowód bezczelności moskalofilów poznańskich, podkreślając ustępy drastyczne: „Smutną wiadomość przynoszą nam dzisiejsze telegramy. Bohaterski biskup wileński, który w absolutnej Rosyi nie wahał się stanąć w obronie dzieci katolickich, zagrożonych w swej wierze przez szkoły cerkiewne, zawezwany został do Petersburga, dla wytłumaczenia się ze swego kroku. Biskupowi w tej ciężkiej podróży towarzyszą modły i przywiązanie wiernych, a podziw i cześć całego świata katolickiego, zarazem też jednak *nadzieja, że w Petersburgu znajdą się czynniki*, które potrafią ocenić szlachetność i dzielność postępowania biskupa. *W prawosławnej Rosyi niema* tak jak w Niemczech *ogólnej niechęci do wszystkiego co polskie i katolickie*, niechęci, która nawet ze strony niemiecko-katolickiej tak potężnego nieraz doznaje poparcia. Owszem, w prawosławnej Rosyi walczą ze sobą pod względem religijnym dwa potężne prądy. Jeden reprezentowany na zewnątrz przez nadprokuratora synodu a będący wyrazem administracyjno-teologicznego obskurantyzmu, drugi złożony tak z ludzi głębiej myślących w samem łonie cerkwi, jak ze zwolenników idei liberalnych. Do wzmocnienia tych ostatnich przyczynia się też w pewnym stopniu prąd słowianofilski *i sympatye dla Polaków, rozwijające się w tak szerokich kołach narodu rosyjskiego*. Wobec tego wykluczoną nie jest nadzieja, że wpływy dodatnie zwyciężą w sprawie przez ks. biskupa Zwierowicza poruszonej".

Już w parę dni potem moskalofile poznańscy musieli skonstatować, że „sympatye dla polaków" wraz z owym, zmyślonym na poczekaniu „potężnym prądem" nie dopisały. Biskup został skazany na zesłanie. Trzeba było przyjąć cios z ręki „szlachetnego monarchy" (tak stale tytułują Mikołajka moskalofilskie pisma poznańskie) i milczeć. Ale od czegoż pomysłowość moskalofilska? „Kuryer Poznański" ogłasza niebawem „List z Petersburga" (!), wrzekomo otrzymany od jednego ze współpracowników poważnego pisma rosyjskiego (?) jakoby za po-

średnictwem osoby, przybyłej z Królestwa. List, najwidoczniej sfabrykowany w Poznaniu, zwala winę całej sprawy Zwierowicza na... niemców. Nie do uwierzenia, a jednak fakt! Autor owego „listu“ pisze: „Sprawa Zwierowicza silny wywarła wpływ na stosunek polsko-rosyjski. W całej Polsce *odżyło znowu* przedświadczenie o wrogich dążnościach Rosyi. Otóż zastanowić się należy nad okolicznościami, które poprzedziły nowy ten zatarg rosyjsko-polski. Krzyk chłostanych przez Niemców dzieci i płacz matek polskich odbiły się głośnem echem w całym cywilizowanym świecie. Jak gorące, jak serdeczne echa odezwały się w społeczeństwie rosyjskiem, o tem wiecie. Wzruszenie i gorące współczucie zapanowało w tak wysokim stopniu u nas, że starzy ludzie nie pamiętają podobnego zajęcia się sprawami pobratymczego narodu słowiańskiego. Przez chwilę nawet dały się unieść ogólnemu prądowi sfery najbardziej *niemieckiemu* wpływowi podlegające, sfery rządowe. Pozwolono na składki wrzesińskie, cenzura, zresztą tak nieubłagana, przepuszczała artykuły, o jakich krótko przedtem nawet nie byłoby można marzyć. Zajaśniał jakby promyk owej wielkiej zorzy zgodności narodów słowiańskich, do której *tęskni nasze społeczeństwo...* A wtedy powiał też inny wiatr u nas. Mówiono sobie, że car Mikołaj II stanie nareszcie samodzielnie wobec swego ludu, że otrząśnie się z krępujących go więzów biurokracyi, które go chińskim murem od ludu Bożego odgraniczają.

„I sprawa wrzesińska stała się u nas popularną nietylko w imię instynktów pobratymczych, lecz także jako symbol jedności cara z ludem, jako zadatek nowej ery upadku wpływu wszechwładnego germanofilskiego czynownictwa, pod którego ciężarem jęczy wielka, potężna Rosya. Rzeczywiście ruch emancypacyjny od wpływów niemiecko-czynowniczych dźwignął się potężnie. Następnie wyszła na jaw ohydna sprawa Grimma *). Zdawało się, że ona stanowczo szalę na korzyść idei słowiańskiej przechyli. Lecz stało się inaczej. *Niemcy czuwali*

„Miesiąc temu, w mieszkaniu zamożnego Niemca petersburskiego zebrało się grono osób niemieckiego pochodzenia. Byli tam Niemcy z Łodzi, z Warszawy, miejscowi petersburscy, dwóch panów z Moskwy i jeszcze jedna osoba. Radzono nad położeniem. Odczytywano rozmaite przywiezione przez niektórych uczestników zebrania listy, z których wynikało, że należy koniecznie położyć kres ruchowi słowianofilskiemu, który się wzmaga w sposób poważnie niemczyźnie zagrażający. Zwrócono uwagę na słowiańskie usposobienie monarchy rosyjskiego i na ostatnią deskę ratunku, która germanizmowi w Rosyi pozostaje, na czynownictwo.

„Następnie dyskutowano długo nad sposobem użycia go do swych celów... Wkrótce też, jak Deus ex machina, wystąpiła nagle prokuratorya św. synodu, zaostrzając tlejący już od dawna pod popiołem ogień sporu o szkółki cerkiewne w gubernii wileńskiej...

„Cios jest mistrzowski. Polacy wrą oburzeniem. Watykan ciężko i boleśnie dotknięty. Rząd pchnięty w taką pozycyę, że albo musiałby skapitulować, albo też w ostre wejdzie przeciwieństwo do wszystkiego co katolickie i polskie. Jakiż to krzyż, jaka boleść dla sędziwego papieża Leona XIII, którego wielkiem, najbliższem sercu marzeniem jest urzeczywistnienie wiekowej tradycyi Kościoła Rzymskiego — połączenia wschodniej cerkwi z Rzymem. Jakiż cios także dla nas, tak licznych Rosyan, którzy tej wielkiej myśli sprzyjamy, choć trudno nam uprzytomnić sobie postać, pod jaką myśl ta kształty rzeczywistości przybierze i t. d. i t. d.“

---

*) Moskalofile poznańscy starają się przedstawić Grimma jako niemca-patryotę.

I na takie sfingowane listy „współpracowników poważnych pism rosyjskich“, bolejących nad zmartwieniem papieża, daje się brać społeczeństwo poznańskie! Swoją drogą zesłanie Zwierowicza bardzo popsuło moskalofilom szyki. Fakt ten oddziałał na moskalofilów poznańskich tak, jak demonstracye lwowskie (z taką zaciętością potępiane przez narodowych demokratów) na polskich moskalofilów w Galicyi. Inne pisma, nie wyłączając nawet ultramoskalofilskiego „Dziennika Poznańskiego“, nie poszły za przykładem „Kuryera“ i nie usiłowały wmawiać w swych czytelników, że Zwierowicz padł ofiarą intrygi niemców. „Dziennik Poznański“ z rezygnacyą oświadczył: „Należy sobie zdać sprawę z położenia i powiedzieć otwarcie, że ucisk Kościoła na Litwie de facto wcale nie ustał. Pozorne, nominalne raczej niż faktyczne ulgi (?) dla religii i narodowości naszej w Królestwie Polskiem nie wpłynęły w niczem na pofolgowanie w tym względzie w krajach zabranych. Żadnych pod tym względem nie należy sobie robić iluzyi; tak jest! Nie tylko na Litwie, ale i w guberniach unickich Królestwa, uznanych za „rdzennie prawosławne“ trwa dotąd niczem nie stłumione prześladowanie w całej pełni — tak jak zaraz było po roku 1863. — Kościoły zamykają. Duchownych ograniczają w spełnianiu obowiązków kapłańskich, szykanując ich wszelkimi sposobami, jakimi „administracyjny porządek“, będący prostem bezprawiem, rozporządza. Prawosławie narzucają gwałtem i bez litości. Opornych wiążą, lub transportują w okolice już „nawrócone“ i t. d. i t. d. Słowem, nic się nie zmieniło od czasów Murawiewa“.

Od bardzo dawna nie pojawiły się w prasie moskalofilskiej takie słowa, to też „Dziennik Poznański“ nie może ukryć goryczy zawodu i otwarcie wyrzuca rządowi rosyjskiemu, że swem niepolitycznem postępowaniem zepsuł robotę moskalofilską. Pisze on: „W chwili obecnej, będącej bez kwestyi przełomową (?), w momencie, który jest niewątpliwie epoką wstępną, przygotowawczą do *moralnego zespolenia się słowiańszczyzny w jedną całość (!)* — postępowanie takie ze strony rządu rosyjskiego jest nie tylko przeciwnem pojęciu cywilizacyi, ale stanowczo niepolitycznem i osłabiającem to rodzące się *poczucie jedności sławiańskiej*“.

Energiczna działalność naszych towarzyszy w zaborze pruskim nie na żarty zaniepokoiła polityków poznańskich i górnośląskich. Zwłaszcza wiece socyalistyczne, zwołane przez naszą partyę na Górnym Śląsku, w Wrocławiu i w Poznaniu, wywarły wielkie wrażenie. Rzecz ciekawa, że kiedy burżuazyjna prasa galicyjska w ciągu szeregu lat usiłowała ruch socyalistyczny „zabić“ milczeniem, prasa poznańska skwapliwie notuje wszystkie kroki socyalistów, podaje sprawozdania z naszych wieców, przytacza ustępy przemów socyalistów, komentuje wystąpienia poszczególnych mowców i t. d. Ciekawem jest stanowisko polskiej prasy względem objawów ruchu socyalistycznego. Ma się rozumieć, że cała prasa uważa ruch socyalistyczny za obcą naleciałość, niema tylko zgody co do źródła „zarazy“ socyalistycznej. Zwłaszcza część pism z „Katolikiem“ bytomskim na czele twierdzi, że cały socyalizm polski jest intrygą żydów. „Katolik“ na poczekaniu stał się nawet niezwykle gorliwym syonistą, ustawicznie nawołując naszych towarzyszy pochodzenia żydowskiego, ażeby się zajęli agitacyą syonistyczną. Inne pisma, jak np. „Diennik Poznański“, twierdzą o socyalizmie, że jestto „owoc działalności hakatystów i naszych, różnego autoramentu radykałów“. Widać we wszystkich głosach prasy wielką konsternacyę, spowodowaną wystąpieniami naszych towarzyszy, ale widać też, że poprostu nie wiedzą, co mają z tym fantem robić. Niektórym wydało się, że najlepszym środkiem na „zarazę“ socyalistyczną będzie... polski związek zawodowy. Przystąpiono więc w Poznaniu do założenia podobnej organizacyi. Jak pisze „Dziennik Poznański“: „Na wezwanie komitetu stanęło około 500 rzemieślników-pracobiorców z najrozmaitszych zawodów. Powitał ich p. Teodor Krause i wyjaśnił, w jakim celu powołano ich

do wspólnej narady. Chodzi o założenie związku zawodowo-zarobkowego na tle polskiem, o wyswobodzenie rzemieślników z wpływów socyalnej demokracyi, a impulsem dla inicyatorów były ostatnie wiece socyalistyczne, odbyte w Poznaniu. Ponieważ głównym celem wieców socyalistycznych było przywabienie polskich rzemieślników i robotników, więc, aby temu przeszkodzić, pomyślano o organizacyi, która ma sparaliżować agitacyę socyalistów i wyrwać z ich objęć polskich pracowników. Po ukonstytuowaniu biura wiecowego, p. Zenon Lewandowski w obszernem przemówieniu wyjaśniał wiecownikom znaczenie związków zawodowych niemieckich, do których należy mnóstwo polaków, i w ten sposób własnymi, ciężko zapracowanymi pieniędzmi popierają nieświadomie niemczyznę. Czas więc największy, aby polscy pracobiorcy mieli własne związki i nie oddawali pieniędzy w formie składek związkom niemieckim, skoro związki polskie również bardzo dobrze mogą prosperować z korzyścią dla członków, czego najlepszym dowodem polskie Spółki zarobkowe. Jeżeli zaś niektórzy majstrowie obawiają się, że zorganizowani rzemieślnicy polscy stawiać będą zbyt wygórowane żądania, to obawy te, zdaniem p. Lewandowskiego, są płonne, gdyż *związki mają być tylko biczem na wyzyskiwaczy żydowskich*".

Nie da się zaprzeczyć, że polski związek zawodowy, zawiązany w Poznaniu z *uczciwym* celem pomagania robotnikom w walce z wyzyskiwaczami, jeśliby i nie przyniósł doraźnej korzyści robotnikom polskim, gdyż organizacya *zawodowa* musi tam być polsko-niemiecka, jeśli ma posiadać jakieś znaczenie, to w każdym razie zmusiłby niemieckie związki zawodowe do większego uwzględniania interesów członków-polaków. Natomiast komiczna karykatura związku zawodowego. przedewszystkiem dbającego o interesy *majstrów* polskich (a może i niemieckich, bo ma być „biczem dla wyzyskiwaczy *żydowskich*"), pozostanie bańką mydlaną i tylko skompromituje firmę polską. Dowcipniej sobie radzą narodowi demokraci na Górnym Śląsku. Oto w świeżo nabytym od spekulanta Biedermanna „Górnoślązaku" piszą dosłownie: „...B y t o m. Socyaliści zabrali się sprężyście do pracy. Ludzie jeżdżą kolejami i kolejkami, w których rozdzielają broszurki i piśmidła pomiędzy robotników. Przeważnie czwarte klasy kolei głównej zarzucają „towarzysze przewrotu" swemi bzdurstwami".

Redaktorem „Górnoślązaka" jest jeden z pierwszych narodowych demokratów w zaborze pruskim — dr. Jan Kowalczyk, a „Górnoślązak" jest obecnie organem otwarcie narodowo-demokratycznym. Naturalnie, policya pruska nie kazała sobie dwa razy powtarzać denuncyacyi, i poczęła śledzić naszych towarzyszy, jeżdżących koleją. Na razie denuncyacya „Górnoślązaka" nie przyniosła obfitych plonów, gdyż policya przyłapała naszych towarzyszy tylko na gorącym uczynku... dostarczania głodnym wychodźcom galicyjskim chleba.

Nasz zjazd partyjny zaboru pruskiego, mający się odbyć na Zielone Świątki został odroczony do Bożego Narodzenia.

* * *

We Lwowie toczy się obecnie walka o wakujący po wyborze posła Romanowicza na członka Wydziału krajowego mandat do parlamentu. Walka ta zasługuje na uwagę ze względu na jej symptomatyczne znaczenie.

Wskutek słabego rozwoju uprzemysłowienia Galicyi miasta, stanowiące wszędzie gdzieindziej twierdze liberalizmu, w tym kraju wybierają do parlamentu albo zdecydowanych konserwatystów, rządowców, albo t. zw. „galicyjskich demokratów". Ci demokraci stanowią jedyny w swoim rodzaju okaz partyi mieszczańskiej, wysługującej się na każdym kroku agraryuszom ze szkodą wszelkich żywotnych interesów mieszczaństwa, które mają wrzekomo reprezentować. Dziś, kiedy najbardziej zaśniedziali stańczycy popisują się przy wszelkiej sposobności frazesami o potrzebie rozwoju przemysłu, o konieczności inwestycyi na cele przem

słowe, dziś, kiedy jeden z najbogatszych magnatów galicyjskich (hr. Andrzej Potocki) prezyduje na zjazdach przemysłowych — zginęła nawet ta powieszchowna różnica, jaka niegdyś dzieliła (w słowach, oczywiście) agraryuszy-stańczyków od „demokratów", deklamujących na cześć rozwoju przemysłu krajowego. Nawet w sprawie niepodległości Polski stańczycy mało się różnią od „demokratów". Podczas wszelkiego rodzaju rocznic patryotycznych i obchodów narodowych „demokraci" więcej o niepodległości mówią, ale nawet najbardziej patryotyczni z nich są ugodowcami czystej wody *). Gdyby nawet różnili się zasadniczo w swych poglądach od konserwatystów, to i tak na zewnątrz nie mogłoby się to wyrażać niczem, chociażby tylko z tego powodu, że „demokraci", uznając za konieczne przestrzeganie „solidarności narodowej", wchodzą w skład „Koła", gdzie albo pełnią funkcye lokajskie względem stańczyków, albo w najlepszym razie usuwają się od głosowania.

Przez czas jakiś zdawało się, że wśród „demokratów" znajdzie się bodaj drobna garstka ludzi, którzy będą chcieli na seryo traktować walkę, z zatruwającą życie krajowe kliką konserwatywną. Po krachu galicyjskiej Kasy oszczędności i całego szeregu innych instytucyi finansowych, kiedy mieszczaństwo naocznie przekonało się, że gospodarka stańczyków prowadzi wprost do ruiny materyalnej, do zupełnego upadku ekonomicznego, hasło „koncentracyi" wszystkich żywiołów antystańczykowskich, rzucone przez tow. Daszyńskiego, znalazło oddźwięk i wśród demokratów radykalniejszych. Hasło „koncentracyi" stało się ogromnie pupularnem wśród mieszczaństwa i drobnomieszczaństwa i jednocześnie przyczyniło się do rozkładu „lewicy" demokratycznej — tej grupy posłów, którzy reprezentowali demokratów w sejmie lwowskim.

Ten proces rozkładu lewicy demokratycznej rozpoczął się właściwie już nieco wcześniej. Mianowicie kiedy lewica „demokratyczna" zdobyła się za wniosek, żądający V kuryi dla sejmu lwowskiego, grupa najbardziej reakcyjnych „demokratów" z dr. Jabłońskim na czele wystąpiła z lewicy. Na jesieni r. 1900 jedenastu człon ków lewicy pod wodzą dra A. Sokołowskiego otwarcie oddzieliło się od zwolenników „koncentracyi", zarzucając tym ostatnim, że łączą się z żywiołami, propagującymi „waśń stanową", że rozbijają solidarność narodową, że nie chcą ulegać centralnemu komitteowi wykonawczemu — temu najohydniejszemu narzędziu korupcyi politycznej, słusznie nazywanemu „mafią galicyjską". albo komitetem dla rozbojów wyborczych. Prawie równocześnie wystąpiła przeciwko „skoncentrowanym" grupa posłów z Małachowskim i Michalskim na czele. Zdawało się już, że demokracya, oczyszczona od wszystkich żywiołów reakcyjnych i niepewnych, rozpocznie na prawdę nową erę w życiu miast galicyjskich. A trzeba dodać, że masy mieszczańskie i cała opinia wyborców była po stronie „skoncentrowanych". W ten sposób praca ich była znacznie ułatwiona. Prawie wszystkie miasta wypowiedziały się przeciwko komitetowi centralnemu.

Niestety najradykalniejszym demokratom starczyło usposobienia opozycyjnego akurat do wyborów. Przyszły wybory, rozpoczęły sie konszachty demokratów ze stańczykami, ubieganie się o łaskę komitetu centralnego i — w końcu — idea „koncentracyi" pozostała na papierze, a pp. „skoncentrowani" znaleźli się w „Kole", ażeby i nadal zaprzepaszczać interesy demokracyi i mieszczaństwa w służbie stańczyków.

Zapanowała sytuacya dość oryginalna. Cała opinia publiczna była za koncentracyą żywiołów opozycyjnych, miasta się burzyły, a przedstawiciele wyborców

---

*) Wyjątek w prasie demokratycznej stanowi „Nowa Reforma" krakowska ale ta właściwie nikogo nie reprezentuje. Organami demokracyi galicyjskiej są we właściwem znaczeniu „Dziennik Polski" (prawe skrzydło) i „Nowe Słowo Polskie" (lewe skrzydło).

opozycyjnych, posłowie wybrani w Krakowie i Lwowie nie tylko przez mieszczaństwo, ale również przez ludowców i socyalistów, popierających kandydaturę „skoncentrowanych“ jako opozycyonistów — wzmocnili reakcyę w „Kole“. Mało tego, pomiędzy „skoncentrowanymi“ a secesyonistami z lewicy rozpoczęły się konszachty, które miałyby doprowadzić do ponownego złączenia się wszystkich żywiołów „demokratycznych“ w sejmie, ma się rozumieć kosztem wyrzeczenia się przez „skoncentrowanych“ tego wszystkiego, co ich od secesyonistów reakcyjnych różni. Konszachty te właśnie teraz doprowadzają się do skutku.

Zmarnowanie przez „skoncentrowanych“ tego opozycyjnego nastroju, jaki zapanował w miastach przed ostatnimi wyborami, jest ostatecznym wynikiem ich działalności dwuletniej, i obecnie, zdaje się, można uznać sprawę koncentracyi za przypieczętowaną

Opozycyjne usposobienie mieszczaństwa i drobnomieszczaństwa postanowiło wyzyskać stronnictwo ludowe, które dotychczas działało wyłącznie na wsi, wśród ludności włościańskiej. Wybór posła Bojki, ludowca, we Lwowie pozwolił stronnictwu ludowemu sądzić, że i po miastach jest dużo żywiołów, które w braku prawdziwie opozycyjnych kandydatów ze strony „demokratów“ gotowi są pójść za ludowcami. Stronnictwo więc wysunęło kandydaturę p. J. Stapińskiego i rozpoczęło kampanię przeciwko „demokratom“ lwowskim, a zwłaszcza przeciwko p. Rutowskiemu — jednemu z najwstrętniejszych okazów „demokracyi“ galicyjskiej, zwykłemu karjerowiczowi, pragnącemu zrobić interes polityczny na opozycyjności wyborców i jednocześnie wchodzącemu w konszachty z wszelką reakcyą. Polemika „Kuryera Lwowskiego“ z organem p. Rutowskiego „Nowem Słowem Polskiem“ przyczynia się niepomału do rozpraszania przesądów politycznych co do rzeczywistej wartości „demokratów“ galicyjskich, zwycięstwo p. Stapińskiego we Lwowie mogłoby się przyczynić do zupełnego usunięcia gruzów „demokracyi“ z życia politycznego Galicyi, o ile by, naturalnie, ludowcy utrzymali swoje dzisiejsze żądania, z powszechnem prawem wyborczem na czele.

° °
°

Spóźnionem echem zmarnowanego przez narodową demokracyę ruchu przeciwko wykładowi religii katolickiej po rosyjsku*) były wypadki w Pińsku (gub Mińska). Według „Wieku XX“ przebieg ich był następujący: „Już od niedzieli (16 marca) krążyła pogłoska, że uczniowie tamtejszej szkoły realnej zamierzają zaprotestować przeciwko odmawianiu modlitwy i wykładom religii w języku rosyjskim. Nie przywykli do poważnych manifestacyi mieszkańcy Pińska, zatrwożeni o przyszłość dzieci, tłómaczyli komu mogli bezcelowość protestu. Tak trwało dni kilka. Pińsk zaniepokojony oczekiwał ostatecznego postanowienia młodzieży. Już we czwartek rano uczniowie polacy, zebrawszy się, jak zwykle, na ogólnej sali w celu odmówienia modlitwy, odmówili ją nie po łacinie, lecz po polsku. Następnie odbyła się lekcya religii w klasie pierwszej. Z wyjątkiem paru, inni malcy nie chcieli wcale odpowiadać po rosyjsku. To wystąpienie dzieci pierwszoklasistów było niespodzianką nawet dla młodzieży. Uczniowie klas wyższych, podziwiając odwagę młodych towarzyszy, obawiali się jednak, aby pierwszy zapał dzieci nie minął, więc, nie czekając następnej lekcyi religii, zgromadzili się wespół z dzieciakami pierwszych trzech klas, poprosili przełożonych, by zawezwano dyrektora i oznajmili mu, że nie chcą wykładu religii po rosyjsku, ani modlitwy po łacinie. Dyrektor, zdziwiony i oburzony, odpowiedział, że to niemożliwe, „tu, w rosyjskiem, pińskiem gimnazyum!“ i kazał odejść wszystkim, zaś pozostać jedynie buntowszczykom. I oto salę opuściło 8 wystraszonych uczniów

*) Wobec pogłosek, puszczonych przez N. D., jakoby sprawa siedlecka zakończyła się zwycięstwem, należy stwierdzić, że bynajmniej tak nie jest: władze obecnie poszukują księdza, któryby chciał wykładać po rosyjsku.

z drugiej klasy — reszta pozostała. Dyrektor następnie przeczytał spis uczniów, a przekonawszy się, że wszyscy niemal polacy są obecni na sali, zgłupiał. Rozpoczął śledztwo, celem dowiedzenia się, kto namawiał, dla czego to robią i t. p. Odpowiedzi brzmiały tak jednak, że po zapisaniu zeznania pierwszego do protokułu, o innych dodawał tylko: „toż samo, co pierwszy". W zeznaniach młodzież powoływała się na Wrześnię, na opinię gazet rosyjskich i t. d. Wobec tego, że zeznania były jednakowe, śledztwo przerwano. W piątek, dnia 21 marca uczniowie znowu odmówili modlitwę po polsku; po niej przyszedł na lekcyę do klasy 6-tej prefekt, figura marna, utrzymująca, że należy wytrwać na stanowisku, i wykładał dalej religię po rosyjsku. Gdy rozpoczął wykład religii po rosyjsku, uczniowie opuścili salę. Toż samo powtórzyło się i w innych wyższych klasach; w niższych tylko nie odpowiadano po rosyjsku (z wyjątkiem owych ośmiu). Wtedy dyrektor zdecydował się zawiesić wykład religii. Kilku uczniom zabroniono przychodzić do szkoły. Tegoż dnia wieczorem rozpoczęto nagonkę na rodziców mieszkających w Pińsku: wezwano ich urzędownie do szkoły, w celu zbadania kierunku myśli. Prawie wszyscy, z bardzo małymi wyjątkami, odpowiadali, że za swoich synów odpowiadać nie mogą, co zaś do ich poglądu osobistego, to solidaryzują się z dziećmi i pochwalają ich wystąpienie. Wówczas dyrektor wezwał rodziców mieszkających na wsi, ale i ci stanęli na wysokości zadania. Do Pińska, w niedzielę 23 marca, przyjechał kurator wileński Popow, miał przemowę do młodzieży, pełną podejść lisich i groźby, ale gdy to nie skutkowało, dał spokój. Inspektor, przekonywując młodzież o konieczności wykładu religii w języku rosyjskim, w ferworze oratorskim użył zwrotu bardzo charakterystycznego. I cóż chcecie — powiada — żeby Rosya uwzględniła wasze żądanie, kiedy nawet taka ucywilizowana Anglia dusi burów.

Nauczyciele dokładają wszelkich starań, by wykryć głównych sprawców oporu, nie przebierając w środkach; jeden z tych zacnych pedagogów proponował malcowi z 2 klasy 15 rubli za wskazanie namawiających go do protestu. Sprowadzono do Pińska teraz prokuratora z Mińska (Pińsk należy do okręgu sądowego mińskiego, zaś pod względem oświaty do okręgu wileńskiego), żandarmów i kilku doświadczonych agentów policyjnych.

Rodzice zachowywali się na ogół bardzo dobrze (z małymi wyjątkami), pochwalili wystąpienie młodzieży, a nawet ktoś pojechał do metropolity z prośbą o wstawiennictwo i zażądanie od władz wykładu religii w języku polskim. Dyrektor zawiadomiony o tym wyjeździe, chciał go wyzyskać na korzyść rządu, zwołał on młodzież do sali szkolnej i powtórnie proponował jej, aby do czasu postanowienia ministra słuchała wykładu religii po dawnemu — po rosyjsku. Część młodzieży, nie rozumiejąc kruczka dyrektorskiego, zawahała się, starsi jednak uczniowie, w liczbie 22, kategorycznie oświadczyli, że wykładu po rosyjsku słuchać nie będą. Wobec tego wykład religii zawieszony i nadal.

Ksiądz, pomimo powszechnego oburzenia, „na stanowisku" chce wytrwać. Owych 22 młodzieńców, z klas 4, 5, i jednego z 7-mej, usunięto chwilowo do 5 kwietnia br. Połowie z nich kazano wyjechać do miejsca urodzenia.

Rocznica śmierci pisarza rosyjskiego Gogola, wywołała znowu szereg prześladowań młodzieży gimnazyalnej, która nie chciała wziąć udziału we wstrętnej szopce rusyfikacyjnej. Najpoważniej ucierpieli uczniowie gimnazyum II-go w Warszawie i gimnazyum w Płocku. Uczniowie II-go gimnazyum warszawskiego postanowili nie brać udziału w uroczystości. Na obchodzie zjawił się jeden tylko uczeń klasy VI — niejaki Pinakiewicz. Oburzeni tym postępkiem uczniowie zwołali sąd koleżeński i skazali go na infamię. Matka zasądzonego, dowiedziawszy się o nazwiskach trzech uczestników sądu, podała je dyrektorowi, który ich z gimnazyum wydalił. Podczas uroczystego rozdawnictwa świadectw wielkanocnych uczniowie zwrócili się do dyrektora, by wydalonych kolegów

przyjęto z powrotem do szkoły. Dyrektor zwymyślał petentów w sposób grubijański i ordynarny. Oburzeni uczniowie rzucili się nań i dość mocno poturbowali. Przy wyjściu z gimnazyum pobito również jednego z najbardziej znienawidzonych profesorów. Rozpoczęło się śledztwo, prowadzone w iście inkwizytorski sposób. Rezultatem jego było wydalenie 17 uczniów z t. zw. „wilczym biletem“ i dwudziestu kilku bez niego. Pierwsi nie będą przyjęci do żadnego z zakładów naukowych w Rosyi, przyjęcie drugich zależeć będzie od dobrej woli dyrekcyi gimnazyalnych.

W Warszawie z powodu jubileuszu Gogola ucierpiała jeszcze szkoła rzemieślnicza imienia Konarskiego. Młodzież była na uroczystości, ale już po odczycie jeden czy dwóch uczniów gwizdnęło. Inspektor szkół prywatnych Giejewskij polecił zarządzić śledztwo, by winnego ukarać. Wówczas inspektor Demczenko wynalazł dziewięciu winowajców, których bezzwłocznie wydalił Oprócz tych, jeszcze 11 skazano na mniejsze kary — zatem na ogólną liczbę uczącej się w szkole młodzieży (100) ukarano piątą część. Młodzież ta przeważnie bardzo biedna, kara więc dla niej jest szczególnie dotkliwą.

Zaszły też nieporozumienia między uczniami Polakami a władzą gimnazyalną w Chełmie, spodziewane są wyroki na kilkunastu uczniów. Donosi o tem „Wiek XX“.

W Płocku z powodu uroczystości Gogola dyrektor gimnazyalny wygłosił mowę, w której obok superlatywów oficyalnej elokwencyi na cześć Gogola, pozwolił sobie, mówiąc o dziele poety p. t.: „Taras Bulba“ na wycieczki, obrażające wprost polskie uczucia narodowe. Uczniowie zaczęli tłumnie opuszczać salę, głośno objawiając swoje niezadowolenie. Rada pedagogiczna wydaliła 23 uczniów, a wyrok ten został zatwierdzony przez wyższą władzę.

W Łomży młodzież również zaprotestowała przeciwko obchodowi urzędowemu. Wytoczono jej śledztwo, ale sprawa skończyła się na niczem, ponieważ dyrektor oświadczył, iż zobaczy jak młodzież będzie się zachowywała podczas rocznicy — Żukowskiego, przypadającej niebawem i również mającej być obchodzoną uroczyście. Dobry sposób wpajania w młodzież polską miłości do literatury rosyjskiej i jej przedstawicieli. Zresztą nasza młodzież jest obecnie wydalana nie tylko za brak czci dla pisarzy rosyjskich. Oto np. w Lublinie kary posypały się za niedość lojalne zachowanie się podczas nowego wymysłu władz moskiewskich — święta sadzenia drzewek. Jak pisze „Kuryer Lwowski“, w Lublinie 13 kwietnia pedagogowie moskiewscy urządzili święto sadzenia drzew dla młodzieży. Na uroczystość zaproszono gubernatora, naczelnika żandarmów, prezesa i prokuratora sądu okręgowego i innych moskali. Młodzieży gimnazyalnej męskiej i żeńskiej, oraz uczniom szkół elementarnych nakazano przyjść na uroczystość pod groźbą surowej kary. Ustawiono uczniów w kolumny, po 5 w szeregu, i popędzono za miasto ku Bronowicom (miejsce zabaw ludowych), gdzie miano sadzić drzewa. Konni strażnicy policyjni eskortowali pochód, a na ulicach stali z bagnetami żołnierze. Na Bronowicach gubernator powitał młodzież po żołniersku: „zdrawstwujtie rebiata!“ Młodzież milczała. Dla pilnowania uczniów i uczennic sprowadzono żandarmów, następnie kazano młodzieży odśpiewać hymn urzędowy. Młodzież odczuła sromotę tego żądania i odmówiła posłuszeństwa, hymn więc odśpiewali jedynie moskale. Po śpiewie przemówił gubernator o dobrodziejstwach rządu i zaszczycie, jaki na nas spada z powodu, że należymy do poddanych wielkiego cara. Podrażnieni i oburzeni uczniowie zaczęli gwizdać i sykać. Wtedy już kazano szybko sadzić drzewka, a właściwie na posadzonych zawieszać deseczki z napisami rosyjskimi. Około 60 uczniów nie mogło wytrzymać do końca tej hecy, zawrócili więc ku miastu. Puścili się za nimi w pogoń policmajster ze strażnikami, w dorożkach i konno. Zmęczoną młodzież chwytano, niektórych nawet przy chwytaniu bito, i odwożono do miasta. Zaczęło się śledztwo i trwa

już z górą tydzień. Wynik dotychczasowych badań i przesłuchiwań jest taki: 30 uczniów wydalono z. t. zw. „wilczymi biletami", tj. bez prawa wstępowania do innych gimnazyów, 6 wydalono z gimnazyum lubelskiego, 18 usunięto ze szkoły do czasu ukończenia śledztwa,¡ kilkunastu ukarano aresztem. Żandarm z polecenia gubernatora przetrząsają cały Lublin, celem wynalezienia agitatorów. W mieście panuje oburzenie na prefekta gimnazyum żeńskiego, ks. Scypiona, który na uroczystość, pod przewodem popów urządzoną, nietylko przybył sam, ale przyprowadził swoje siostry.

Charakterystyczne to, że wszędzie od Pińska do Lublina — obok policyi, w mundurach pedagogów i żandarmów, musi znaleść się i ksiądz katolicki polak, który pełni funkcye pomocnika żandarmów. My, socyaliści, oddawna przyzwyczailiśmy się do takiej roli księży, teraz mogą się przekonać o nizkim poziomie naszych „duszpasterzy" i inne sfery społeczeństwa polskiego. Wszak gdyby duchowieństwo katolickie w kraju naszym posiadało bodaj krztynę poczucia obywatelskiego, wszystkie protesty uczniaków, cała ta „Września pod Moskalem" byłaby zbyteczna, gdyż rząd nie znalazłby wśród kleru ludzi, dobrowolnie wykładających porosyjsku, a gdyby nawet znalazły się takie nikczemne wyjątki. ogół księży pogardzałby nimi, jak pogardzał t. zw. „rytualistami" na Litwie Niestety, obecnie nietylko takie sprzeniewierzanie się najelementarniejszym obowiązkom narodowym, ale nawet odgrywanie roli pomocników żandarmskich u nikogo wśród kleru nie budzi oburzenia. Ukazała się wprawdzie hektografowana odezwa bezimienna jakichś księży, nawołujących do połączenia sił, „by zmusić wszelkimi godziwymi środkami dotychczasowych katechetów do ustąpienia ze szkół", ale nie słychać o żadnych jej skutkach. Nic dziwnego: słowa autorów odezwy, podpisujących się „Fratres" padną na grunt jałowy, niczyjego sumienia nie poruszą.

Ciekawe było zachowanie się księży na Litwie po otrzymaniu okólnika biskupa Zwierowicza. Bardzo niedużo proboszczów odczytało go z ambon, większość zakomunikowała go parafianom prywatnie, niektórzy w końcu zrzucili z siebie ten obowiązek na zakrystyana lub organistę. A jednak musieli przecież rozumieć, że nic im właśnie nie zagraża, gdyż byli ślepymi wykonawcami woli swego zwierzchnika.

Okólnik biskupa Zwierowicza oddziałał na lud bardzo dobrze. Podobno jednego dnia odebrano ze szkółek cerkiewno-rusyfikatorskch przeszło 2000 dzieci. W pewnej miejscowości w powiecie Sokólskim doszło do zburzenia szkoły cerkiewnej przez ludność miejscową. Odbieranie dzieci ze szkół cerkiewnych trwa w dalszym ciągu.

Biskupa Zwierowicza, który swem wystąpieniem zmazał do pewnego stopnia winy nikczemnego zachowywania się względem rządu, udziału w odsłonięciu pomnika Murawiewa i. t. d., powołano do Petersburga. Tam otrzymał rozkaz, aby stawił się u ministra spraw wewnętrznych Sipiagina. Ksiądz Zwierowicz w poniedziałek rano przybył na audyencyę do Sipiagina, który po krótkiej rozmowie oświadczył mu, że we czwartek przedłoży raport carowi, a w piątek lub w sobotę zawiadomi ks. biskupa o postanowieniu carskiem. Tymczasem już we wtorek rano ogłoszono wyrok. Według słów „Czasu" do gmachu akademii duchownej przybył zarządzający departamentem obcych wyznań ministeryum spraw wewnętrznych Mosołow i zaproponował biskupowi dobrowolne ustąpienie zkatedry wileńskiej z zachowaniem całkowitej pensyi dotychczasowej i prawem obioru miejsca zamieszkania. Ks. biskup odmówił, tłomacząc się tem, że bez pozwolenia stolicy apostolskiej z urzędu swego rezygnować nie może. Wówczas rz. r. st. Mosołow zakomunikował mu wyrok, skazujący go na zesłanie do Tweru na czas nieograniczony z wyznaczeniem mu pensyi w wysokości 120) rubli rocznie..

O wyjeździe biskupa z Wilna tak pisze „Gaz. Narodowa“: „Płacz straszny, przeciągły, jękiem przecinany, bił aż w niebo, gdy biskup nasz, ks. Zwierowicz, odjeżdżał do Petersburga. Przed pałacem biskupim zebrane były tłumy ogromne, a takie rozjęczone, takie zrozpaczone, że serca się rwały. Tłumy te wiodły karetę, wiozącą ks. biskupa do dworca. Każdy chciał żegnać ukochanego pasterza, każdy chciał go widzieć. Okrzyki na jego sławę mięszały się z wołaniami rozpaczy. Karetę zatrzymywano co chwilę, tłumy nie chciały puścić ks. Zwierowicza. Kobiety mdlały, inne modliły się w głos. Biskup, żegnając wszystkich serdecznie i błogosławiąc, polecał nam opiekę nad dziatwą nieszczęśliwą. Policya nie umiała sobie dać rady i musiała ustąpić przed żywiołową siłą tłumów, które odprowadziły swego pasterza aż na dworzec“.

Policya wileńska ma widocznie obecnie bardzo dużo pracy, gdyż musi przybierać sobie do pomocy stróżów. Nowy gubernator wileński, von Wahl, który już zdążył pokazać wilnianom swe pazury, wydał niedawno instrukcyę dla stróżów Wilna. Instrukcya ta zawiera dużo charakterystycznych szczegółów. Każdy stróż domowy nie ma prawa zajmować się niczem innem, jak tylko dozorowaniem powierzonego mu domu. Ma być zdrów, silny i nie przekraczać lat 50. Powinien znać rozkład wszystkich mieszkań, a także znać osobiście wszystkich lokatorów, ich rodziny i zajęcia. Ma surowo pilnować, ażeby każdy z mieszkańców domu meldował się w cyrkule; o niechcących poddać się temu należy zaraz donieść władzy. Powinien bezzwłocznie zawiadomić policyę o wszelkich schadzkach i zebraniach, o wszelkich wypadkach domowych, wreszcie o „podejrzanych osobach“. Stróże mają pilnować, ażeby w domach nie było *tajnych drukarni*, składów *jakichkolwiekbądź papierów, książek* i broni. Każdy stróż, na rozkaz policyi, obowiązany jest natychmiast przychodzić jej z pomocą podczas nieporządków ulicznych, oraz przy chwytaniu i prowadzeniu aresztowanych. Stróże dyżurni są obowiązani strzedz, aby nie rozrzucano lub nie przylepiano jakichkolwiek odezw itp. niedozwolonych przez policyę druków, żeby nie podrzucano jakichkolwiekbądź szkodliwych przedmiotów. Powinni oni uważać na wszystkie osoby, wchodzące i wychodzące z domów, a w razie, gdy pojawią im się osoby nieznane, przekonywać się, gdzie i po co one idą i zawiadamiać policyę o każdym, kto budzi podejrzenie. Wreszcie obowiązkiem ich jest pilnie baczyć, żeby nie było zebrań podejrzanych i o wszystkich takich zebraniach natychmiast donosić policyi, chwytając się wszelkich możliwych środków, aby policya mogła na czas winnych przytrzymać. Bramy domów należy zamykać o godzinie 7 po południu od 1-go października do 15-go kwietnia a o godzinie 9-tej przez czas pozostały.

Rząd postanowił przeprowadzić reformę w istniejącej oddawna instytucyi obowiązkowego ubezpieczenia od ognia. Reforma ta polega przedewszystkiem na zcentralizowaniu Zarządu, który od wiosny roku ubiegłego znajduje się w Warszawie, następnie na zrusyfikowaniu tej instytucyi i na przysposobieniu jej do celów rusyfikacyi kraju, w końcu na stworzeniu nowego organu do ściągania podatków na wyłączne cele ministeryum spraw wewnętrznych. W roku ubiegłym rozpoczęto jeneralne przeszacowywanie wszystkich budynków w Królestwie Polskiem. Ponieważ stałych sił na to by nie wystarczyło, przeto użyto „wolnonajemnych taksatorów“, często ludzi bez żadnego pojęcia o rzeczy i osobników z pod ciemnej gwiazdy. Tylko do otaksowania budynków wartości większej nad 100) rs. przyjeżdża taksator technik, k ry robi szczegółowy, dokładny obrachunek. Po wsiach, przy oszacowy niu budynków chłopskich dzieją się wielkie nadużycia. Chłopi poznali się odr u na tym nowym podatku carskim i przyjęli go z wielkiem niezadowoleniem. dzie niegdzie doszło i do czynnego oporu, jak naprzykład w powiecie łowi im, we wsiach: Zawady i Wygoda. W drugiej połowie stycznia naczelnik powiatu wezwał do siebie chłopów i próbował słodkiemi słówkami ich zjednać ale bez skutku. Wów

aresztował sołtysa i jednego gospodarza za szczere wypowiedzenie się o nowem dobrodziejstwie rządowem. Opór przybrał najszersze rozmiary w powiecie bialskim gub. siedleckiej, gdzie liczne zebrania gminne ostro wystąpiły przeciwko narzuconym ubezpieczeniom. Nasz korespondent pisze o tem co następuje:

Już przed świętami Bożego Narodzenia sporadycznie zdarzały się tam wypadki oporu. Urządzano zebrania gminne, na których wyrażano nieufność do państwowej asekuracyi, proponując natomiast wolną, wzajemną asekuracyę gminną, polegającą na tem, aby raty ubezpieczeniowe podług wolnej umowy składano na ręce zaufanych gospodarzy swej wsi lub gminy, którzy następnie wypłacaliby poszkodowanym wynagrodzenie, odpowiadające rzeczywistej wartości spalonych budynków. W ten sposób instytucyę państwową, polegającą na wyzysku i oszustwie, chcieli zastąpić przez wzajemne ubezpieczenie, polegające na wolnej umowie i solidarności gminnej. Niektóre gminy pod groźą nacisku rządowego przyjęły asekuracyę państwową, inne okazały opór, najdzielniej zaś spisała się wieś *Tuczna*, zamieszkana przez drobną szlachtę zagonową. Gdy przybył tam taksator rządowy, aby wymierzyć i oszacować budynki, oświadczono mu, że wieś nie życzy sobie rządowej asekuracyi, gdy zaś ten chciał szacować mimo woli gospodarzy, połamano mu narzędzia i wyrzucono go ze wsi. Wrócił więc jak niepyszny do Białej i przyjechał znów; lecz i teraz nie lepiej mu się powiodło. Tłum rzucił się na nieproszonych gości, zbił i wypędził. Wrócili więc jeszcze raz, w towarzystwie naczelnika powiatu, naczelnika straży ziemskiej i 12 strażników. Naczelnik powiatu miał do ludu mowę, w której przekonywał go o dobrodziejstwach, płynących z asekuracyi rządowej, i w końcu zapowiedział, że w razie oporu, wezwie kozaków, przyczem przypomniał o pogromie kozackim podczas spisu jednodniowego*). W tłumie odezwały się głosy, że kozaków się nie boją. Przystąpiono znowu do pomiarów pod osłoną policyi, lecz i tym razem napotkano opór. Naczelnik począł wskazywać policyi „zaczynszczyków“, rozkazując ich aresztować.

Wtedy tłum w okamgnieniu ukrył ich między sobą; zato odciął naczelnika powiatu od strażników, otoczył ciasnem kołem i zaczął darzyć gęstemi sójkami. Wreszcie naczelnik wydostał się z tłumu, wydobył rewolwer i kazał strażnikom wymierzyć do tłumu. Tłum zbił się ciaśniej i oczekiwał w milczeniu. Naczelnik zawołał: „Wiecie, że ja teraz będę do was strzelał“? Tłum odrzekł spokojnie: „strzelaj“. Wtedy policya jak niepyszna schowała rewolwery do pochew. Naczelnik i strażnicy wrócili do Białej. Stamtąd zatelegrafowano do Czertkowa z zapytaniem, co robić. Czertkow kazał natychmiast użyć kozaków. Ci już mieli wyruszyć na miejsce, gdy prezes asekuracyi rządowej udał się do Czertkowa i przełożył mu, że nahajki kozackie zupełnie zdyskredytują w oczach ogółu asekuracyę rządową, której przecież chodzi o zyskanie jaknajwiększego zaufania i popularności. Zamiast tedy kozaków wyjechali do Tucznej rozmaici dygnitarze, którzy usiłowali załatwić całą tę sprawę pokojowo. Ponieważ mieszkańcy wsi, mimo że w rzeczywistości znają język rosyjski, umieją nawet czytać i pisać oświadczyli kategorycznie, że nie umieją ani słówka po rosyjsku, musieli zatem dygnitarze rosyjscy, jak umieli, łamanym językiem polskim, przemawiać do ich szkatuły. Przywieźli nawet z sobą instrukcyę asekuracyjną, zredagowaną popolsku (!) — pierwszy to chyba wypadek w instytucyi rządowej — i to pod naciskiem zzewnątrz. Szlachta przyjęła instrukcyę, wysłuchała mów dygnitarzy i oświadczyła im, ażeby przyjechali do niej za tydzień, wtedy im odpowiedzą stanowczo. Wsie sąsiednie, zamieszkałe przez chłopów polaków i rusinów, też stanowczo odmawiają przyjęcia asekuracyi rządowej.

W rezultacie w gubernii Siedleckiej zniżono taryfę.

---

*) Tuczna była wsią prawosławną, która podczas spisu podała się za katolicką i w końcu została za katolicką uznana.

W nocy z 16-go na 17-ty kwietnia w Warszawie został dokonany cały szereg rewizyi i aresztowań wśród inteligencyi żydowskiej. Co do przyczyn tych rewizyi kołują najrozmaitsze pogłoski. Zdaje się jednak, że tu nie chodzi ani o tajną organizacyę socyalistów, ani o socyalizm, tylko o czysto kulturalną działalność wśród mas żydowskich. Aresztowano około 30 osób, rewizyi zaś przedsięwzięto do 80-ciu. Zrewidowano lekarzy — Henryka Nussbauma, Juliana Schleifsteina, Aleksandra Bernsteina, Maksymiliana Warszawskiego, Maurycego Judta, Brunera, Frenkla, Klosenberga; dentystów — Essigmana, Lipszyca, Judtai adwokatów — Marcelego Kramsztyka i K. Jasinowskiego; rodzinę Horwiców, redaktora Sokołowa, kaznodzieję Poznańskiego i wielu innych, z pomiędzy których aresztowano: doktorową Huzarską, studenta Tanenbauma, syna redaktora Sokołowa, Wacława Kirszrota — syna znanego publicysty, syna historyka — Tadeusza Kraushara. Aresztowano również parę osób w tej samej sprawie w Łodzi.

Poprzednio aresztowano w przeddzień Wielkiejnocy kilkunastu akademików i studentek, wydalonych przez władze pruskie z Charlotenburga i Berlina. Wzięto między innymi Żmigrydera , Tyszkę, Czarnomskiego, Majbauma i Oksnerównę Część już wypuszczono.

i W Płocku aresztowano 7-miu uczniów gimnazyum. Było parę aresztowań w Dąbrowie. Została tam wzięta panna Boszko-Bożyńska.

Dn. 26 marca w X pawilonie znajdowali się następujący więźniowie: Babicka M., Chwalewik E., Daniuszewski J., Dziewulski M., Fiołek H., Frenkiel M. Fundamentski Ilja, Gołębiowski St., Grosglik W., Grześlak; Hencel Paulina, Hryniewiecki L., Kielczewski B., Krawiecki (Kac) J., Kucik St., Lewandowscy A. i W.,Lewszyn N., Magrzyk T., Marchlewskie J. i M., Miklaszewski J., Nachamczyk S., Nitenberg K., Olszewski J., Owczarski B., Piątkowski St., Piechaczek W., Praus F., Rosoł J., Rozen Ch., Rząca I., Sarnecka, Stopa F., Stryjewski F., Świderski B., Sułiewicz A., Szczechowicz L. Sztajn D., Stajnmetz B., Szwarc W. Trusiewicz St.. Węch. J., Zajączkowski A., Zakon Ch.,Zozuń A. Oprócz tego oskarżeni o wydawanie tajemnic wojskowych rządowi pruskiemu Grimm Aleksander, podpułkownik rosyjski, Fitisow Adrejan, krewny Grimma, urzędnik intendentury, Bergsten Serafin, Kreczetowicz i Podgornow Iwan — „piscy“, Rupp Emil, kupiec z Warszawy.

Przewiezieni na Pawiak: Bobik Karolina, Hurko J., Kasprzak Maryanna Pilczycki A., Radlicki J., Rende Julianna, Serańska Karolina.

Wypuszczeni: Brandel Julia, Horbaczewski J., Sojkowicz H., Stanisławski F., Zawadzka.

W końcu kwietnia wypuszczono dwie siostry Marchlewskie. Wydalono je jako pruskie poddane zagranicę. Przetrzymano w Kaliszu dwa dni — prawie bez żadnego pożywienia — dodano im trzecią siostrę, wypuszczoną już wcześniej, i wytransportowano do Prus na Nieszawę, stanowiącą punkt wymienny do wzajemnego wydawania sobie „przestępców“.

Dn. 10-go kwietnia wyszedł N 44 „Robotnika“. Artykuł wstępny omawia rocznice rewoluayjne, przypadające na pierwszą ćwierć roku, a więc. „Proletaryatczyków, powieszonych w r. 1886, powstania styczniowego ,powstania warszaw z r. 1794, nareszcie Komuny paryskiej. Potem idzie spis więźniów X-go pawilonu i artykuł „Budżet carski“, poezyjka „Zła miara“ i dział „Zza kraty“, poprzedzający korespondencye z Warszawy, Łodzi, Łomży, Radomia, Kalisza, Częstochowy, Zagłębia Dąbrowskiego, Białegostoku i Wilna. Resztę N. wypełniają: kronika krajowa„ ostrzeżenia i pokwitowania.

Z ROSYI.

Zabicie ministra Sipiagina, mianowanie na jego miejsce Plewego, ustąpienie Wannowskiego, bunty chłopskie na Małej Rusi, zaburzenia robotnicze w okręgu moskiewsko-włodzimierskim, demonstracye antyrządowe w Finlandyi i, jak zwykle, aresztowania masowe — oto najwybitniejsze fakty z życia rosyjskiego w ostatnich czasach. Położenie rządu staje się coraz bardziej kłopotliwem. Ciężki kryzys przemysłowy, dający się odczuwać dziesiątkom tysięcy robotników fabrycznych, głód, którym przymierają miliony ludu wielko i małoruskiego, niezadowolenie znacznych kół inteligencyi, wkradające się nawet do armii, nierozwiązana kwestya studencka, powstawanie coraz to nowych organizacyi socyalistycznych — wszystko to wstrząsa panującym w Rosyi „ładem“ i dyskredytuje siłę caratu zagranicą. Rząd jednak wcale nie myśli o ustępstwach.

Nominacya Plewego na ministra spraw wewnętrznych w Rosyi jest oznaką trwania przy dawnym systemie. Plewe należy do obozu konserwatywnego, którego osią jest Pobiedonoscew. Co więcej, w swej dotychczasowej karyerze dał się on poznać jako szczególnie uzdolniony do tropienia i tępienia ruchu rewolucyjnego w Rosyi. Urodzony w r. 1848, po skończeniu wydziału prawnego oddał się praktyce sądowniczej i uznany za człowieka zdolnego, szybko awansował, zwłaszcza w późniejszym okresie swej karyery. Z urzędu prokuratora w różnych prowincyonalnych miastach rosyjskich przeniesiony został do Warszawy na stanowisko starszego prokuratora izby sądowej, którego zakres działania rozciąga się na wszystkie sprawy polityczne.

Kiedy w Krakowie rozgrywał się w r. 1880 proces przeciwko tow. Waryńskiemu i 34 towarzyszom, spowodowany denuncyacyą właściciela drukarni Koziańskiego, Plewe zjawił się w Krakowie w celach szpiegowskich. Przez 6 tygodni przysłuchiwał się rozprawie; przy pomocy agentów śledził nici polskiej organizacyi socyalistycznej. Słowem, grasował, jakby u siebie w domu. Komisarzem policyjnym, prowadzącym śledztwo policyjne przeciwko oskarżonym był Kostrzewski, którego zasługi wobec rządu moskiewskiego, nagrodzone orderem, zostały dokładnie odsłonięte w interpelacyi parlamentarnej tow. Pernerstorfera. Nie dziw, iż w takich warunkach wycieczka Plewego opłaciła mu się sowicie. Powróciwszy do Królestwa rozpoczął on cały szereg procesów przeciwko krewnym i znajomym osób, o których informacye zebrał w Krakowie. Jego „energia“ zwróciła nań uwagę sfer „wysokich“, tak iż wkrótce potem został mianowany prokuratorem w Petersburgu. Był to dowód wielkiego zaufania, gdyż w stolicy Rosyi organizacye rewolucyjne budziły wówczas postrach w otoczeniu carskiem i Plewe niejednokrotnie wzywany był do cara Aleksandra II dla składania mu dokładnych raportów. Ze stanowiska pośredniego pomiędzy sądowem a policyjnem, jakim był urząd prokuratora, został Plewe w r. 1881 mianowany szefem departamentu policyi — po głośnej sprawie zamachu dynamitowego w pałacu zimowym. Za Aleksandra III został mianowany senatorem i pomocnikiem ministra spraw wewnętrznych.

Na tym urzędzie zainicyował Plewe szereg ograniczeń dla kraju Nadbałtyckiego, wobec żydów i wogóle ludności nieprawosławnej. Również ze wzrastaniem coraz bezwzględniejszej reakcyi za Aleksandra III otrzymał polecenie wypracowania projektu ograniczenia samorządu ziemstw, powstałych za Aleksandra II i wywiązał się z tego zadania, wprowadzając do nich instytucyę naczelników ziemskich, jako paraliżującego czynnika czynowniczego. Wykazawszy w ten psosób swój nowy talent w kierunku tworzenia ograniczeń i praw wyjątkowych,

został Plewe powołany na sekretarza stanu dla Finlandyi, gdzie potrzeba było jego „doświadczenia“ i umiejętności *odpowiedniego* komentowania praw. Na tem stanowisku był on prawą ręką Bobrikowa, wysłanego dla niszczenia konstytucyi finlandzkiej. Plewe pochodzi z rodziny polskiej i jest rosyaninem tylko po kądzieli. Ojciec jego, będąc w wojsku, ożenił się z prawosławną, reszta jednak tej rodziny, pochodzącej z Litwy, jest polską, a stryj jego przed zmoskwiczeniem szkół w Królestwie, zajmował naczelne stanowisko w okręgu naukowym w Warszawie. Co więcej nowy minister we własnej osobie uczęszczał do szkół w Warszawie, i nawet pisywał w młodości artykuły polskie. Czy nasi ugodowcy nie będą chcieli uważać mianowania Plewego za ustępstwo dla polaków?

Dymisya Wannowskiego jest również potwierdzeniem trwania rządu carskiego przy dawnym systemie. Jego pomysły reformatorskie zrobiły fiasko — młodzieży nie zaspokoiły, a dla sfer reakcyjnych z Pobiedonoscewym na czele były zanadto radykalne. Rząd więc postanowił cofnąć się. Reforma, usuwająca ze szkół średnich naukę języków martwych, zostaje zawieszona, a nowy minister oświaty Zenger jest najskrajniejszym zwolennikiem klasycyzmu.

Zaburzenia studenckie przycichły, stłumione brutalną dłonią władz, ale nie wiadomo, na jak długo. Oczyszczanie uniwersytetów i miast uniwersyteckich z żywiołów nieprawomyślnych przyjęło olbrzymie rozmiary.

Groźne są rozruchy chłopskie. Co do przyczyn tych rozruchów krążą rozmaite pogłoski. Prasa zagraniczna drukuje ustępy z rozpowszechnianego wśród chłopów podrobionego „ukazu“ cara, pozwalającego chłopom brać, co im potrzeba, z dóbr wielkopańskich. Ruch ogarnął już gubernię woronezką, kurską, jekaterynosławską, połtawską i charkowską, a bezustannie szerzy się dalej. Rozruchy rozpoczęły się w gubernii połtawskiej w dobrach ks. Oldenburskiego. Lud nachodził gromadnie dwory i brał przeważnie zboże na chleb i do siewu, poza tem nie tknął niczego i zachowywał się spokojnie. Bogatsi chłopi wogóle nie brali udziału w tych wyprawach, uboższych zaś sami wójtowie wypędzali ze wsi po żywność do dworów, przyczem spisywali protokoły, że wszystko odbywa się według ukazu, a także, ile kto wziął zboża. Dopiero gdy w pewnym majątku rządca strzelił do chłopów i kilku z nich zabił, rozpoczęły się rabunki i pożogi. Lud gwałtem teraz grabi wszystko, co mu w ręce wpadnie, do czego zresztą zachęcają go liczni agitatorowie. Według innego doniesienia, chłopi gubernii połtawskiej splądrowali i spalili 60 dworów, wszystkie sprzęty połamali i zniszczyli, co się zabrać nie dało. Ogromną ilość cukru, zabraną z cukrowni, wrzucono do wody, ponieważ nie mogli go zabrać. W gubernii charkowskiej zniszczonych jest podobno 20 obszarów dworskich. W okolicy panuje ogromny teroryzm. Obywatele ziemscy rzucają wszystko i uciekają. Obawiają się, że rozruchy chłopskie przybiorą znaczniejsze rozmiary. W Korolówce, w dobrach ks. Meklemburskiego zaburzenia spowodowane zostały przez jego rządcę. który otrzymał na zasiłek dla chłopów znaczną ilość zboża, lecz zatrzymał je dla siebie.

Donosi o tem „Frankfurter Zeitung“.

We lwowskiem „Dile“ znajdują się dwie korespondencye, charakteryzujące bliżej ruch chłopski, którego widownią stała się obecnie lewobrzeżna Ukraina.

Z powodu rocznicy 19 lutego (uwłaszczenia włościan) zapewne nikt inny, tylko R. U. P. (rewolucyjna partya ukraińska) rozrzuciła po wsiach gubernii połtawskiej broszury „Czy teraz jest pańszczyzna“ i „Diad'ko Dmytro“, *) gdzie mowa o tem, skąd wzięła się pańszczyzna, w jaki sposób została usunięta, jak chłopom zabrano ziemię, na co obracane są podatki, z czego żyją car i jego urzę-

*) Tłómaczenie „Pańszczyzny“ Luśni i „Ojca Szymona“.

dnicy, jak lud powinien być dopuszczony do udziału w ustawodawstwie, czego żądają rewolucyoniści i t. d. Broszury kończą się wezwaniem do walki z obcymi wyzyskiwaczami. Korespondent „Diła“ donosi dalej, jakie wrażenie robiły te broszury po wsiach: chłopi zbierali się razem, odczytywali je, komentowali. W pewnej wsi zdarzył się wszakże wypadek, iż chłop, któremu nadesłano owe zakazane druki, odczytawszy je wraz z sąsiadami, udał się potem do wójta po wyjaśnienie różnych wątpliwości. Naturalnie powstał z tego powodu popłoch: zleciała się policya — pristaw, uriadnik. Odebrano chłopu broszury, zaczęto uganiać się za niemi po wsi. Pozabierano oryginały, ale jeden z chłopów piśmiennych sporządził sobie odpis, który kursował znów dalej. Z powodu tej agitacyi panuje zwłaszcza pomiędzy młodszem pokoleniem silne wrzenie, tem bardziej, iż w przeciwieństwie do starych, straciło ono wszelką wiarę w łaskę carską. Wielką wagę posiadają też w tym wypadku niewygasłe tradycye kozackie.

Jakby dalszy ciąg poprzedniej tworzy druga korespondencya „Diła“, dochodząca od innej osoby. „Tu w Połtawskiem — pisze ów korespondent — mamy bunty chłopskie. Chłopi zajeżdżają z podwodami do „ekonomii“ (dworów) i za zgodą, lub nawet bez zgody obszarników zabierają zboże i wiozą do domów. Tu i owdzie parobcy porzucają służbę. Chłopi mówią ironicznie, że niema się o co spierać. bo nowe zboże zbiorą oni z pola do własnych stodół. Nastała teraz druga „wola“ (wolą zwą chłopi tam czas zniesienia pańszczyzny). Ziemia przejdzie do nas — mówią — a panom co? — Ma który żonkę, to mu się zostawi 7 dziesięcin. W niektórych miejscach popodpalali chłopi szpichlerze i brogi. Chłopi zachowują się z dziwną flegmą, jakby to wszystko było rzeczą zwyczajną, choć przeczuwają, że jak nie dziś, to jutro pokaże się po wsiach wojsko. Z Połtawy wyjechali gubernator, prokurator, starszyzna żandarmska, oraz $1^1/_2$ pułku żołnierzy w różne strony gubernii. W Połtawie pozostało tylko pół pułku. Ruch wybuchł odrazu w kilku powiatach: połtawskim, konstantynogrodzkim, łubieńskim, oraz charkowskim (gub. charkowska)“.

Co do rozruchów robotniczych, to, jeśli mamy wierzyć doniesieniom pism zagranicznych, skierowane są one w znacznej mierze przeciwko cudzoziemcom, przeciwko „dyabłom cudzoziemskim“. Nie wiadomo, czy nie jest to jedna z nowych sztuczek Zubatowa. Rozruchy w okręgu moskiewsko-włodzimierskim noszą wszystkie cechy rozpaczliwych wybuchów żywiołowych. Robotnicy łamią maszyny, palą zabudowania fabryczne i t. d. Wysłano przeciwko nim wojsko, tak samo jak i przeciwko chłopom na południu.

Już podczas zaburzeń studenckich w Petersburgu opowiadano, że oficerowie gwardyjskiego pułku kozaków wzbraniali się występować przeciwko demonstrantom. Obecnie donoszą do pism rosyjskich, że oficerowie siemionowskiego pułku gwardyjskiego również otwarcie wyrazili niechęć i niezadowolenie z powodu używania tego pułku do masakrowania bezbronnych ludzi. Oficerowie kijowskiego garnizonu, przyłączając się do tego protestu, wystosowali do komendanta kijowskiego okręgu wojskowego prośbę o zwolnienie ich od obowiązku spełniania funkcyi policyjnych przy ulicznych manifestacyach, gdyż podobne praktyki demoralizują garnizon.

Nie tylko w rdzennej Rosyi, ale i w Finlandyi rząd usiłuje zdusić wszelkie objawy niezadowolenia za pomocą brutalnego gwałtu. Reskrypt carski otwarcie grozi Finlandyi skasowaniem konstytucyi.

„Niedziela robotnicza w Warszawie"*).

W przewidywaniu manifestacyi ogłoszone zostało w dziennikach rozporządzenie zarządzającego pałacami cesarskimi w Warszawie (pałace te znajdują się w obrębie parku Łazienkowskiego), że z powodu przeróbek park ów, przylegający do Alei, zamknięty będzie od dnia 27 kwietnia do 5 maja. Jako wyjaśnienie dodać należy, iż zwykle gromadził się tam tłum osób przed pochodem. „Przeróbki" owe są rzeczywiście śmiesznym pretekstem, bo właśnie dnia 27—30 kwietnia wypadają święta wielkanocne starego stylu i żadnych robót w miejscach publicznych w tym czasie dokonywać nie wolno. Na zaproszenia warszawskiego komitetu robotniczego P. P. S., rozrzucone i rozlepione po całej Warszawie w nocy z czwartku na piątek i wzywające towarzyszów i towarzyszki na zgromadzenie ludowe w Alejach Ujazdowskich na godzinę piątą po południu — pośpieszyły tłumy. Policya i władze również przygotowywały się energicznie: w nocy z piątku na sobotę dokonano bardzo wielu aresztowań, a w niedzielę, pomimo świąt wielkanocnych starego stylu, w domach, także przylegających do Alei, postawiono kozaków. W koszarach skonsygnowano wojsko, w Alejach pozamykano ogrody publiczne; w całem mieście podwojono posterunki policyjne i stróżom kazano stać w bramach domów. Ciekawem jest rozporządzenie policyi, ażeby każdy stróż miał gotowy drugi uniform dla szpicla. Aleje zaś Ujazdowskie, gdzie miało się odbyć zgromadzenie, już od godziny 3 otoczono kilkakrotnym kordonem policyi, starannie segregującej wchodzącą publiczność, przyczem robotników i robotnice bezwarunkowo nie puszczano. O godzinie 5 z Alei usunięto powozy i dorożki, wszystkie zaś przylegające ulice zamknięto baryerami i kordonami policyjnymi. W samych zaś Alejach gęsto krążyły patrole kozackie i mniej więcej co sto kilkadziesiąt kroków byli rozstawieni konni żandarmi. Pomimo takich ostrożności sporo robotników i studentów uniwersytetu i politechniki dostało się do Alei po części w tramwajach, a po części siłą, obalając baryery i przerywając kordony policyjne. Od godziny $5^1/_2$ zaczęły się utarczki z policyą i kozakami, rozpędzającymi gromadzące się większe grupy, przyczem w razie najmniejszego oporu aresztowano. W ten sposób aresztowanych zostało kilkunastu robotników i kilku studentów, co znowu pociągnęło za sobą bójki, ponieważ aresztowanych zaraz odbijano. Mimo to jednak kilka osób odwieziono do cyrkułów policyjnych.

Koło godziny 6 pomiędzy placem św. Aleksandra (Trzech krzyży) i ulicą Piękną, zgromadził się tłum liczący 3 do 4 tysięcy, który rozpoczął pochód w stronę placu dla połączenia się z towarzyszami, nie dopuszczonymi w Aleje, i gęstym tłumem, zalegającym plac i ulicę Nowy Świat koło restauracyi i cukierni „Wersal"; na tłum ten puszczono sotnię kozaków. Towarzysze i towarzyszki przywitali szarżującą hordę okrzykami: „Niech żyje 1 Maja", „Niech żyje rewolucya" i puszczaniem w górę czerwonych baloników. Wezwano drugą sotnię i rozpoczęła się formalna bitwa. Dzikie i przytem pijane kozactwo, puszczone galopem „w nahajki", niemiłosiernie w ciągu jakichś 5 do 7 minut tłukło i tratowało manifestantów, broniących się laskami i parasolkami, przyczem stratowano jedną kobietę i kilkanaście osób potłuczono. Wreszcie tłum został wyparty z Alei. Na placu Trzech krzyży przy kościele św. Aleksandra zaszła nowa walka, przyczem policya i kozactwo próbowało wedrzeć się do kościoła.

---

*) Wiadomości tymczasowe, otrzymane w ostatniej chwili. *Red.*

Trzecia wreszcie „bitwa“ odbyła się już na Nowym Świecie, na rogn Alei Jerozolimskiej, gdzie sotnia kozaków, w połączeniu z oddziałem żandarmów konnych, również uderzyły w „nahajki“ na gromadzące się tłumy robotnicze, tutaj już połączone z mnóstwem ciekawych, wypierając je w Aleje Jerozolimskie, po części w stronę ulicy Marszałkowskiej, a po części na dół na Powiśle. Wreszcie koło godziny 8-mej zakończyły się walki w Alejach, otoczonych kilkakrotnym kordonem kozackim i pełnych patroli konnych, przywrócono ruch powozów, plac św. Aleksandra również otoczono pikietami i kordonami żandarmów i policyi, a wzdłuż trotuarów po Nowym Świecie wciąż chodziły patrole pieszej policyi, przeplatane gęsto konnymi kozakami, nie dopuszczając do zatrzymywania się i gromadzenia się spacerujących. Ogółem aresztowano do 200 osób, przeważnie ludzi o wrażliwej naturze, którzy chowali się po bramach, gdzie ich momentalnie stróże zamykali na klucz. Ogólną ilość manifestujących tłumów niemożliwem jest określić. Zebrały się jednak masy, gdyż cały olbrzymi plac Trzech krzyży, znaczna część Nowego Światu i przylegające ulice były pełne robotników i robotnic, niedopuszczonych w Aleje. Burżuazyjne sfery zachowały się marnie. W Aleje, pomimo tego, że o tej porze co niedziela widać tam niebywałe tłumy, nie przyszły zupełnie i manifestowały jedynie swoją ciekawość, zalegając okna i balkony. Niektórzy zaś właściciele domów w Alejach (mieszka tam wyłącznie najbogatsza burżuazya i arystokracya) dopuścili szpiclów do swoich ogrodów i na balkony. Dalej posunąć „staropolską gościnność“ chyba niemożliwe. Kozacy i żandarmi konni biwakowali w podwórzach domów i w Alejach Jerozolimskich, tuż za Nowym Światem, na ulicy do godziny 12 w nocy.

* * *

Ciekawy opis demonstracyi podaje lwowskie „Nowe Słowo Polskie“. Przytaczamy z niego główne wyjątki, tem cenniejsze, że pochodzą od osobistości, nieprzyjaźnie względem manifestacyi usposobionej: „Od lat kilku „komitet robotniczy polskiej partyi socyalistycznej“ zwołuje zebrania „towarzyszów i towarzyszek“, nie czekając dnia 1 maja, ale korzystając ze święta, dzień ten poprzedzającego. To też na tydzień przedtem ów „komitet robotniczy polskiej partyi socyalistycznej“ rozesłał zawiadomienia lakoniczne zwykłej treści, zwołujące „zebranie“ na niedzielę na godzinę 5 po południu w Alejach Ujazdowskich. Zawiadomienie to rozesłane było w tysiącach egzemplarzy nietylko po wszystkich fabrykach, pracowniach i warsztatach warszawskich, ale także naklejane, gdzie kto mógł, ku utrapieniu policyi i stróżów, czuwających właśnie nad zapobieżeniem rozgłaszaniu pomienionej proklamacyi.

„Dzień rozpoczął się mroźnym porankiem i śniegiem, który o godzinie 6-tej zrana ubielił dachy i ulice Warszawy. Zdawało się więc, że to wyjątkowe zimno kwietniowe wpłynie paraliżująco na zamiary „komitetu robotniczego“ i powstrzyma od manifestacyi żywiołowym trafem tych, którzy mieli paść jej ofiarą. Niestety, pomimo trwającego w ciągu dnia zimna, nie zdołało ono ostudzić niewczesnych zapałów tych, którzy na przekór wszelakim ostrzeżeniom ludzi trzeźwych i rozsądnych, znaleźli się przed wieczorem w Alejach Ujazdowskich, na placu św. Aleksandra i w ulicach poprzecznych. Rozumie się, że policya, wiedząc, co się święci, w nocy z soboty na niedzielę zarządziła już wszelkie przygotowania, w celu niedopuszczenia do zebrania w Alejach lub stłumienia ewentualnych zajść ulicznych. Więc w podwórzach domów zajmowanych przez cyrkuły, skonsygnowano sotnie kozaków i przygotowano znacznie powiększone oddziały policyi i żandarmeryi. Policyanci piesi i żandarmi konni obsadzili również od południa Aleje Ujazdowskie, plac św. Aleksandra i ulice boczne.

„Nad tym całym zastępem obrońców porządku publicznego objął komendę sztabs-kapitan Swinarski, z którym zresztą czuwał osobiście nad wykonaniem

swoich zawsze niedorzecznych poleceń, ruch uliczny regulować mających, oberpolicmajster Lichaczew. Obawiając się, ażeby na zebranie nie zużytkowano parku Ujazdowskiego, zamknięto doń wejścia i obsadzono je policyą. W kilku domach zaś przy ulicy Pięknej ukryto również kozaków. O godzinie 4 po południu w Aleje Ujazdowskie zaczęła napływać od strony placu św. Aleksandra, nie zawsze widywana tutaj publiczność. Odświętnie poubierani robotnicy i rzemieślnicy z dziewczętami, pracownicami różnych warsztatów i fabryk, wyrostki, terminatorowie, garść studentów uniwersytetu i politechniki, o wiele od nich liczniejsi uczniowie szkół miejscowych technicznych i handlowych prywatnych, wreszcie nieliczne gromadki jednostek z pośród inteligencyi. Wszystkich przechodniów puszczano swobodnie z placu św. Aleksandra, oraz ulic: Wilczej, Instytutowej, Pięknej i Szopena w Aleje Ujazdowskie i na razie ruchu kołowego, ani tramwajowego również nie wstrzymano. Ale przed samą godziną 5 po południu policya. obsadziwszy gęściej wyloty przecznic od Alei Ujazdowskich, z pośród spokojnie trotuarami idących ktokolwiek wydawał jej się podejrzanym, wzbraniała pójścia dalej, niż do ulicy Pięknej. w którą skierowywała takie osoby, ażeby zwrócić je w bok w dalsze ulice. W tej samej prawie chwili sztabskapitan Swinarski, wyskoczywszy z parokonnej dorożki „na gumach“, którą objeżdzał Aleje, niby wódz domniemane pole bitwy, wydając tu i ówdzie jeszcze ostatnie polecenia, wysiadł i zbliżył się do grupy spokojnie kroczących uczniów i studentów. Żywo gestykulując pan sztabs-kapitan zapytuje ich widocznie, po co tu idą, i wzywa do rozejścia się, ale niedojrzała nasza młodzież szkolna nie darmo zjawia się tam, gdzie jej wcale nie potrzeba. Jeden z uczniów, przeważnie zaopatrzonych w laski, stawia wyraźny opór Swinarskiemu i butnie mu odpowiada. Kapitan każe go aresztować najbliższemu stójkowemu i odprowadzić do cyrkułu. Policyant ima się swej zdobyczy, ale w tejże chwili między chłopca a niego wpada jakaś kapeluszowa dama, a tymczasem kilku studentów i uczniów bierze aresztowanego pomiędzy siebie i usiłuje go uprowadzić, przechodząc na drugą stronę ulicy. Oczywiście kilkominutowe to zajście wyradza pierwsze zamieszanie. Swinarski goni uciekającego ucznia ze swymi policyantami, oddaje go w ręce dwom rewirowym, którzy odprowadzają aresztanta Alejami do koszar pułku litewskiego, a nadto aresztuje studenta, ujmującego się za młodszym sztubakiem. Tymczasem na placu Trzech Krzyży publiczność, widząc, co się w Alejach święci, tłumnie zajmuje schody pod kolumnadą kościoła św. Aleksandra, pragnąc z tej zaimprowizowanej trybuny dojrzeć, co się dziać będzie. Ale policya i żandarmerya nie tolerują ciekawości tłumów, więc po chwili schody te i okalające kościół św. Aleksandra chodniki, zupełnie „oczyszczone“ z rozproszonych na wszystkie strony placu i ulic, doń prowadzących, warszawskich „gawroszów“. Krążące po chodnikach Alei Ujazdowskiej grupy, wobec wzbraniania im przekraczania Alei po za Piękną, stają u jej wylotu, czekając, co z tego wyniknie. Niebawem p. sztabskapitan Swinarski i oberpolicmajster pojawiają się znów tutaj i żywo wymachując rękami, pierwszy z nich wzywa „Razojditieś gospoda“. Gwizdanie i okrzyki „Hurra“ były jedyną odpowiedzią paruset skupionych przed domem narożnym Nr. 4 i narożną przeciwległą willą, dawniej Raua, rzemieślników, żydków chałatowych, uczniów, studentów i kobiet, w ciągu paru minut podtrzymujących tę kocią muzykę. — „Oczystit' trotuary“ — komenderuje Swinarski i wnet z za węgła ulicy Pięknej wypada w Aleje Ujazdowskie pół sotni kozaków, zbrojnych w tradycyjne nahajki.

„Potrącając się i przewracając, wpadają więc jedni w bramy domów i willi, drudzy do mleczarni Henneberga i ogródka, do niej przyległego, chroniąc się tu za wysoką baryerę żelazną. A kozacy rozpuściwszy szkapy swoje, galopują po trotuarach, machając nahajkami. Tłum jakoby rozproszony, spokój na pół godziny. Ale korzystają z tego inni, przechodzący od placu św. Aleksandra

do Wilczej manifestanci, dążą naprzód znów ku Pięknej, gdzie na rogu ponownie tworzy się zator ludzki, tym razem znacznie liczniejszy i z większym udziałem młodzieży uniwersyteckiej. Powtarza się ta sama manipulacya sztabs-kapitana Swinarskiego; zgromadzeni gwiżdżą i wrzeszczą „hurra!!“, pierzchając, gdy znów z ulicy Pięknej wypada na nich 50 kozaków. Teraz jednak wobec zamknięcia bram domów i willi oraz wylotów ulic, półtoratysiączne zbiegowisko uderza gwałtownie na baryery, strzeżone przez stróżów i koziołkując przez nie, ucieka, pomimo stawiane zapory przez policyę i żandarmów, wpada w ulicę Instytutową, bądź w ulicę Wilczą, któremi również gonią za zbiegami batożący kozacy. Słabsi zaś lub odważniejsi falą całą rzucają się na duży taras mleczarni nadświdrzańskiej, w domu przy Alei Nr. 4 i, tłukąc przez gwałtowny napor szyby w drzwiach sali cukiernianej, mieszają się ze spokojnie siedzącymi przy stolikach gośćmi mleczarni. Tych kozacy doścignąwszy obili dotkliwie, więc też młodzież szkolna i uniwersytecka porywa stojące na werandzie krzesła, stoliki marmurowe. szklanki, spodki i łyżki i tem wszystkiem rzuca w kozaków z trzaskiem łamanych krzeseł i brzękiem tłuczonego szkła, padających na chodnik. Nadjeżdża oberpolicmajster, generał Lichaczew w chwili, kiedy pięćdziesiątka kozaków półkolem otacza taras mleczarni nadświdrzańskiej, a druga pięćdziesiątka nadbiega im z pomocą i wzmacnia ten kordon pod dowództwem rotmistrza i chorążego. Nadbiega jeszcze 50 policyantów i rewirowych, z których część przez podwórze domu wkracza przez kuchnię do lokalu mleczarni i tu oznajmia wszystkim obecnym, że są aresztowani. Po kwadransie więźniowie ci wychodzą z tarasu mleczarni na ulicę, gdzie puszczają ich w środek zatoczonego przez kozaków i policyę pierścienia. Widać w tej gromadce stu kilku osób ze 30 studentów, kilkunastu uczniów szkół handlowych, technicznych i wyrostków rzemieślniczych, kilkunastu przyzwoicie odzianych rzemieślników i inteligentów, kilkanaście pań i panien ze sfery średnio zamożnej lub pracującej. Orszak ustawia się do pochodu, więc przodem żandarmerya konna i policya piesza, a za nią półkolem kozacy i wewnątrz tego półkola policya prowadzi gromadę aresztowanych; za pochodem tym, dążącym noga za nogą, pieszo kroczą oberpolicmajster, sztabs-kapitan Swinarski i garstka oficerów różnych półków i urzędników, zwabionych zajściem w Aleje. Zanim jednak pochód ten wyruszył, uwolniono obydwa chodniki od zgromadzonej publiczności przez kozaków i żandarmów konnych, wypychających grupy po kilkanaście osób nacieraniem końmi w boczne ulice Z tryumfem policya prowadziła swoich jeńców do koszar litewskiego pułku lejbgwardyi, położonych w Alejach na rogu t. zw. Rozdroża. Tutaj zgromadzona była żandarmerya i policya w jeszcze większej ilości. Wszystkich aresztowanych umieszczono w jadalni żołnierskiej, gdzie sztabs-kapitan Swinarski spisał protokół całego zajścia własnoręcznie, poczem kolejno wywoływano wszystkich aresztowanych, zapisywano imiona, nazwiska, adres i zawód, oraz sprawdzano tożsamość osób, o ile kto miał przy sobie odpowiednie legitymacye. Po tej manipulacyi i odmówieniu przez wszystkich obecnych podpisania protokołu zajścia, wypuszczano aresztowanych pojedyńczo, poddając ich jeszcze w oddzielnym pokoju ścisłej rewizyi osobistej. Każdego z uwolnionych, obrewidowanego, policyant wyprowadzał do bramy koszar i na ulicę.

„Formalności te zajęły czas od godziny 8 do 11 wieczorem. Z zatrzymanych pierwotnie stu kilku osób ostatecznie uwięziono tylko 11, co do których policya miała bardziej kompromitujące podejrzenia i tych aresztowanych rozwieziono dorożkami do więzień śledczych, oddając ich z tą chwilą do rozporządzenia „Ochrany“. W koszarach dopiero okazało się kilku kozaków i policyantów lżej poturbowanych, oraz kilka osób potłuczonych, Najdotkliwiej ucierpiał kilkunastoletni rzemieślnik, któremu opatrzył wybite nahajką i stracone oko felczer wojskowy. Jednocześnie w cyrkule przy ulicy Kruczej — wezwane pogotowie

ratunkowe opatrzyło 3 ludzi, pobitych nahajkami przez kozaków w pościgu w ulicach Wilczej, Mokotowskiej, Żurawiej i na placu św. Aleksandra. Jeden z poszwankowanych uciekając padł pod konia żandarmskiego, który, tratując go, zgniótł mu szczękę. Koń również uległ skaleczeniu.

„Wobec zatamowania ruchu kołowego i pieszego w całej dzielnicy miasta, zamieszki te niedzielne w Alei Ujazdowskiej stały się lotem błyskawicy wiadome w całej Warszawie i przez cały wieczór tylko o nich wszędzie mówiono".

Bibliografia

„Żizń". Nr 1. Kwiecień 1902. Londyn.

W r. 1901 czterech ministrów carskich zawiesiło organ marksistów, wychodzący w Petersburgu — „Żizń". Obecnie pismo to, uwolnione z więzów cenzury, odżyło w Londynie. Jestto pierwsza próba w tym kierunku. Zeszyt pierwszy (510 stron) odznacza się rozmaitością treści i robi bardzo korzystne wrażenie. Pod względem kierunku będzie ono reprezentowało marksizm rewolucyjny. Nie stanowiąc organu żadnej z istniejących socyalistycznych partyi rosyjskich, „Żizń" pragnie przyczynić się do wypracowania nowego programu S. D. P. Rosyi i zajmuje stanowisko przyjazne względem istniejących rosyjskich grup socyalno-demokratycznych, jak również i względem organizacyi socyalistycznych ujarzmionych przez carat ludów. „Żizń" pisze: „Wielką przyjemność sprawia nam ukazanie się już w pierwszym zeszycie artykułu towarzysza-polaka, który razem z innymi towarzyszami polskimi obiecał stały udział w „Żyzni". Towarzysze polscy wiedzą, że sympatyzujemy z dążnością narodu polskiego do zupełnej samodzielności narodowej i nie jesteśmy zdolni do przeciwstawiania naturalnemu prądowi „interesów cesarstwa rosyjskiego". „Żizń" wprowadziła stały dział „Z życia polskiego", prowadzony z zupełną świadomością rzeczy. Po za mnóstwem mniejszych artykułów i notatek Nr 1 „Żizni" zawiera przekład „Tkaczów" Hauptmana, mowę Bebla na zjeździe hanowerskim, artykuł Lagardella „Proletaryat i armia", L. Płochockiego „Życie narodowo-polityczne zaboru pruskiego" (45 stron), „Wolna szkoła" W. Possego, „Znaczenie sekciarstwa w Rosyi współczesnej" W. Boncz-Brujewicza, z werwą pisywane przeglądy życia wewnętrznego Rosyi i t. d. Numer zdobią ilustracye o tematach rewolucyjnych. Wśród istniejących już zagranicą pism rosyjskich „Żizń" odrazu zajęła miejsce honorowe. Życzymy szczerze zasłużonego powodzenia bratniemu organowi.

B. P-in.

* * *

„Socjałdiemokraticzeskij Kalendar na 1902 god." Wydanie grupy „Bor'ba". Genewa. 1902.

Nowa rosyjska grupa socyalistyczno-rewolucyjna „Walka" wydała pożyteczny zbiorek artykułów, poezyi i notatek charakteru informacyjnego w formie kalendarza. Znajdujemy tu spis wybitnych faktów z dziedziny ruchu rewolucyjnego, ułożony w porządku kalendarzowym, manifest S. D. P. Rosyi, przegląd życia rosyjskiego w r. 1901, kilka artykułów z historyi ruchu, wyjaśnienia dążności socyalistycznych, parę biografii, artykuł o stanie ruchu socyalistycznego w różnych krajach i t. d. W końcu podano zbiór dokumentów (programów, odezw i t. p.) Dział humorystyczny, zwykle zamieszczany w kalendarzach, z powodzeniem może zastąpić notatka „Polskija partii".

O.

LUŹNE NOTATKI

W uniwersytecie charkowskim na wydziale medycznym sformowała się grupa nacyonalistów, którzy wysłali deputacyę do kuratora z prośbą o zakaz żydom wstępowania na uniwersytet. Motywowali to tem, że żydzi są narodem hałaśliwym, krzykliwym, że wykształcenie każdego dyplomowanego żyda kosztuje rząd 20 000 rubli. Na wydziale prawnym, na jednym z kursów powstała partya popa Joanna Kronsztadzkiego, na innym wydziale doszło do zatargów pomiędzy studentami chrześcianami a żydami. W charkowskim instytucie technologicznym powstała „wolna grupa swobody“ młodzieży bez żadnych zasad. Większość studentów wypowiedziała się przeciwko przyjmowaniu żydów.

* * *

W ostatnich czasach ożywiła się działalność odłamu socyalistów rosyjskich, występujących pod firmą „socyalistów-rewolucyonistów“. Niedawno partya socyalistów-rewolucyonistów połączyła się ze „związkiem socyalistów“ w jedną organizacyę partyjnej. Organem jej jest miesięcznik „Rewolucyonnaja Rossija“ (wyszły 4 N.N.) i nieperyodyczny zbiór prac większego rozmiaru „Wiestnik Russskoj Rewolucyi“. Partya ta wydała N.1 zbiorku „Krestjanskoje Dieło.“ specyalnie przeznaczonego do agitacyi wśród chłopów.

* * *

Nie wymagająca żadnych komentarzy próba „uświadamiania“ ludu przez Narodową Demokracyę za pośrednictwem „Polaka“ i jednem słowem w wyrazie moskal zawiera się wszystko, co może być, było i będzie najpodlejszego między całą przeszłą ludzkością i tą ptzyszłą, co będzie po nas. Jeżeli jakiego najgorszego zbrodniarza podpalacza, złodzieja, mordercę, świętokradcę, wszetecznika, gwałciciela chcemy nazwać jednym właściwem słowem, śmiało możemy go nazwać moskalem, każdy moskal jest tem samem i posiada takie zalety, jak wyżej wymieniony zbrodniarz. I trzeba nam wiedzieć to, kochani bracia Polacy, że żaden moskal innych zalet mieć nie może i do innych zdolny nie jest oprócz wrodzonych, a te już posiada i to w wysokim stopniu“.

Wszyscy dotychczas przypuszczali, że rządowi carskiemu chodzi o narzucenie katolikom na Litwie języka rosyjskiego. Trzeba było dopiero etnografii „Polaka“ narodowo-demokratycznego, ażebyśmy się dowiedzieli, że tak nie jest. „Polak“ bowiem pisze: „Usiłowali więc naprzód moskale wprowadzić swój plugawy język mongolski.“

Dnia 10 maja aresztowaną została tow. Golde. Poprzednio uwięzieni zostali tow. Morawski (na 4 miesiące) i tow. Haase (na 9 miesięcy). Tym sposobem cała redakcya „Gazety Robotniczej“ znajduje się w więzieniu. Rząd pruski wcale nie ukrywa, że idzie mu o zgnębienie naszego organu. Towarzysze! nie dopuśćcie do tego! W chwili obecnej konieczną jest natychmiastowa, energiczna pomoc pieniężna. Zbierajcie składki na „Gazetę Robotniczą“!

Pozdrowienie i braterstwo.

Komitet Zagraniczny Polskiej Partyi Socyalistycznej.

Londyn, 14 maja 1902 r.